Nr. 46 (379). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 14 listopada 1931. Nal. poczt. opł. rycz. Numer zawiera 24 stron. Rok VIII.

ŚWIATOWID

TAM, GDZIE ZAPADAJĄ NAJWAŻNIEJSZE DECYZJE O PRACACH RZĄDU.



Zdjęcie nasze przedstawia p. Premjera Aleksandra Prystora, odbywającego w swym gabinecie w Prezydjum Rady Ministrów konferencję z Ministrem Spraw Wewnętrznych p. Bronisławem Pierackim.

Ag. fot. „Światowida".

W DNIU 11. LISTOPADA.

Rozpoczynamy czternasty rok naszej Niepodległości, czternasty rok ciężkich zmagań o ugruntowanie Niepodległości i zapewnienie Państwu wielko=mocarstwowego rozwoju.

W tym dniu uroczystym myśli nasze zwracają się ku mogiłom tych, którzy za Polskę życie swoje oddali i obecnie śpią snem nieprzespanym w tej ziemi, która im była droższą nad wszystko.

Płyną myśli nasze także ku tym bezimiennym bohaterom, którzy na polach bitew trudzili się przez lata całe, cierpieli głód i nędzę, krwawili się i bagnetem wy=rębywali granice Rzeczypospolitej.

Z ich trudu i znoju powstała Polska, aby żyć...

Nie jest to przypadkowem, że odruch Warszawy mający na celu zrzucenie jarzma niemieckiego nastąpił w dniu przybycia Marsz. Piłsudskiego z więzienia ma=gdeburskiego do stolicy. On bowiem jest symbolem tej walki, którą Naród polski prowadził od 150=ciu lat, aby uzyskać Niepodległość.

Bohaterom cześć!







Moment przybycia Marsz. Piłsudskiego dnia 11-go listopada 1918 r. do Warszawy, po pobycie w więzieniu magdeburskiem. Po lewej stronie Marsz. Piłsudskiego stoi gen. Piskor, obecny szef sztabu generalnego.

Na lewo:
Rozbrajanie Niemców przez młodzież na ulicach Warszawy w listopadzie 1918 roku.

Na prawo:
Warta zaciągnięta przez młodzież akademicką, w przełomowych dniach po opuszczeniu Warszawy przez Niemców.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „SWIATOWIDA".



Na lewo:

Zgon przywódcy socjalistów. Dnia 8 go b. m. zmarł w Krakowie w 59-tym roku życia ś. p. dr. Zygmunt Marek, b. poseł i wicemarszałek Sejmu. Przez długie lata należał on do przywódców P. P. S. Przed dwoma laty po ataku sklerotycznym, usunął się w zacisze domowe.

Na prawo:

Pieśniarz Warszawy nie żyje. Dnia 5-go b. m. zmarł w Warszawie znany poeta Artur Oppmann, pisujący pod pseudonimem Or-Ot. Zmarły był ostatnim epigonem romantyzmu w Polsce. Jako podpułkownika W. P. w rez. pochowano go z honorami wojskowemi.



KRONIKA KRAJOWA





Na lewo:

Po laury do Medjolanu. Znana mezzosopranistka p. Marja Rońska, została zaangażowana na obecny sezon do medjolańskiej opery „La Scala". P. Rońska śpiewać będzie w operach „Werther" (Charlotta), „Samson i Dalila" (Dalila) i innych.

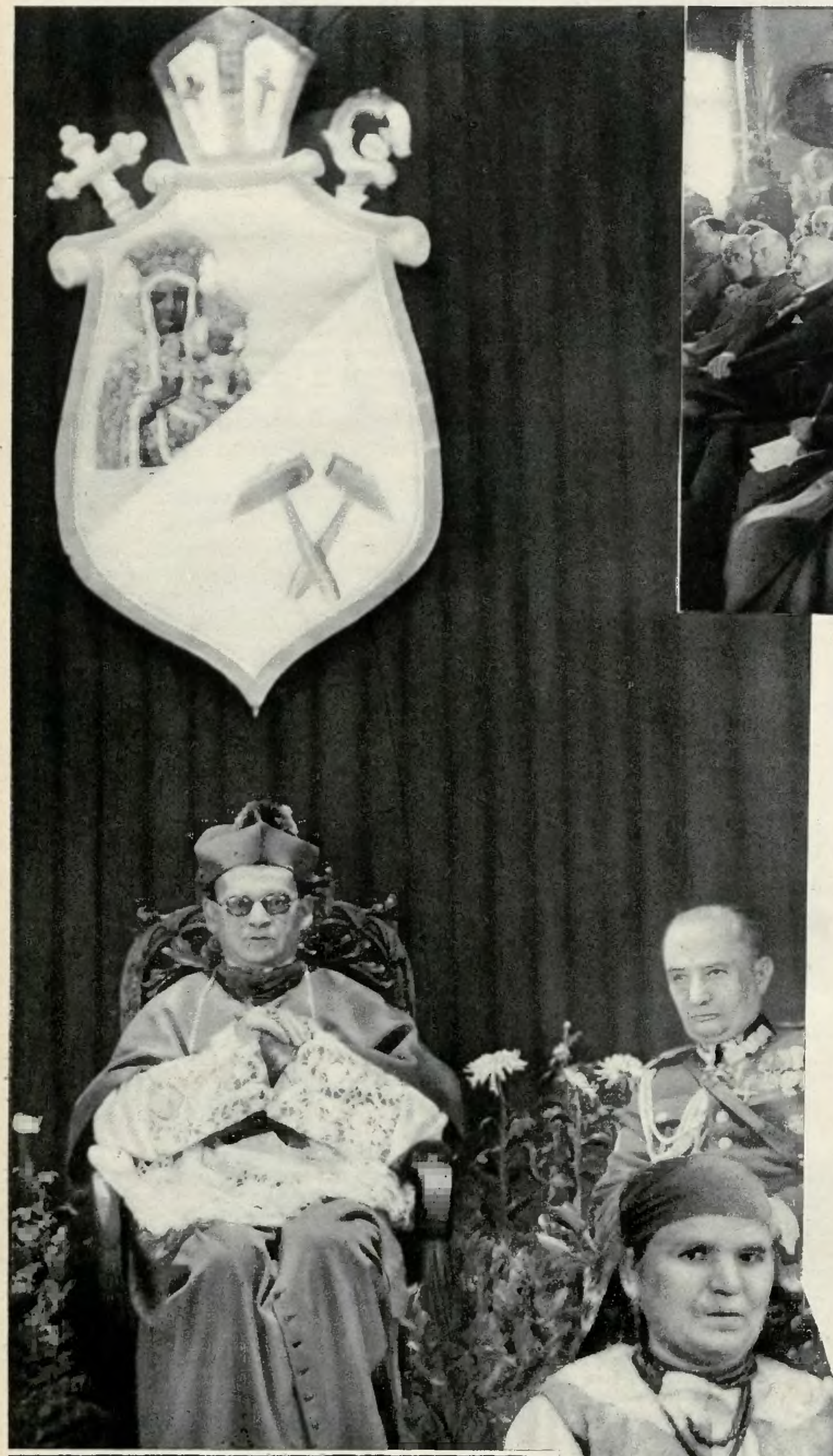
Na prawo:

Ku czci francuskich bohaterów. W tych dniach odbyło się w Poznaniu poświęcenie pomnika-mauzoleum, w którem złożono prochy żołnierzy francuskich zmarłych w niewoli w czasie wojny prusko-francuskiej w 1871 r. Zdjęcie przedstawia wojewodę poznańskiego hr. Raczyńskiego, składającego wieniec na Mauzoleum. Na pierwszym planie p. gen. Dzierżanowski, dowódca O. K. VII, który reprezentował marszałka Piłsudskiego.



Bieg myśliwski św. „Huberta" 8-go pułku ułanów w Krakowie. W dniu 7-go b. m. odbył się w Krakowie bieg myśliwski ze sforą psów, zorganizowany przez 8-my pułk ułanów w rejonie Rakowic. W biegu wzięło udział 70 jeźdźców wojskowych i cywilnych, między innymi gen. Łuczyński dowódca O. K. V,. płk. Piasecki dowódca Brygady Kawalerji, płk. Hackbeil, prof. U. J. Heydel, hr. Romer i wielu innych. Zdjęcie przedstawia fragment z biegu.

DIECEZJA CZĘSTOCHOWSKA
KU CZCI SWEGO ARCYPASTERZA.





Sala strażacka wypełniła się tłumnie publicznością, która przybyła w dniu 8 b. m. o godz. 1-ej na akademję ku czci J. E. ks. biskupa Kubiny. W pierwszym rzędzie widoczny ks. dr. Sędzimir (x), niezmordowany kierownik „Akcji Katolickiej“.

Dnia 8 b. m. odbyły się w Częstochowie uroczystości ku czci J. E. ks. dra Teodora Kubiny z okazji 25-lecia Jego kapłaństwa. Jubilat urodził się dn. 16 kwietnia 1880 r., jako syn robotnika w Świętochłowicach na Śląsku. Jest więc podobnie, jak ks. kardynał Hlond, synem ludu śląskiego. Do gimnazjum uczęszczał w Królewskiej Hucie. Po ukończeniu studjów teologicznych we Wrocławiu, kształcił się przez sześć lat w Collegium Gregorianum, skąd wrócił do kraju jako doktor teologji i filozofji. Święcenia kapłańskie otrzymał 27 października 1906 r. Zajmował kolejno stanowisko Duszpasterza w Mikołowie, w Królewskiej Hucie w Kołobrzegu i Berlinie. W 1917 r. obejmuje jako proboszcz parafję Najśw. Panny Marji w Katowicach. W 1926 r. zostaje powołany na arcypasterza w nowoutworzonej djecezji częstochowskiej. Dnia 2 lutego odbywa swój ingres do Częstochowy, nazywając się „żywą ofiarą ludu śląskiego dla Matki Boskiej na Jasnej Górze“. W Częstochowie rozwija szeroką działalność samarytańską, dokańcza budowy kościoła katedralnego, uzyskując datki od emigrantów z Ameryki, a przedewszystkiem niezmordowanie popiera Akcję Katolicką. Jako znakomity publicysta stara się szerzyć piórem swoje idee i podnieść życie religijne nietylko w swojej djecezji, ale i w całej Polsce. Dowodem przywiązania, jakie ks. biskup Kubina zdołał sobie w ciągu pięciu lat swych rządów w djecezji częstochowskiej zyskać, jest fakt, że uroczystości w dniu Jego Jubileuszu zamieniły się w wielką manifestację całego społeczeństwa tamtejszego, które w hołdzie i czci pochyliło przed Nim swe czoła.



Na lewo: J. E. ks. dr. Teodor Kubina, biskup częstochowski. Zdjęcie przedstawia Go odbierającego hołd w czasie akademji zorganizowanej ku Jego czci, z okazji 25-lecia Jego kapłaństwa. Obok ks. biskupa siedzi gen. M. Dąbkowski, dowódca 7-mej dywizji. Poniżej: kobiety wiejskie z okolic Częstochowy w swych charakterystycznych strojach.

Wszystkie zdjęcia wykonane przez specjalnych wysłanników „Światowida“.

W TAJDZE SYBERYJSKIEJ WŚRÓD KETÓW-OSTJAKÓW.

Tajgi sybirskie nie przestały budzić zainteresowań przyrodników i etnologów Europy.

W czasach dawniejszych badaniami nad tubylcami zajmowali się głównie zesłańcy polityczni. Do dziś dnia dzieło Wacława Sieroszewskiego o Jakutach należy do podstawowych, klasycznych dzieł z dziedziny etnologji sybirskiej.

Ostatnio badania nad wymierającymi t. zw. Ket-Ostjakami, czyli jenisejczykami prowadziła ekspedycja berlińskiego „Muzeum für Völkerkunste“ pod kierownictwem młodego etnologa oddziału azjatyckiego Muzeum Dr. St. Findeisena.

Kierownik miał do pomocy jednego tłumacza i przygodnego zesłańca-burjata, tak więc w rzeczywistości cały ciężar spoczywał na nim.

Jenisejczycy żyją w górnym brzegu Tungurki, Polopływ. Jeniseju, wśród tajg Sybiru.

Lato upływa na rybołostwie — zima na polowaniu, inne zajęcia poza piciem alkoholu i pędzeniem samogonki nie znajdują wielkiego uznania. Powoli, ale coraz głębiej docierają faktorje sowieckie.

Ket poluje w zimie na gronostaje, sobole, niedźwiedzie i zwierzynę o szlachetnych, drogocennych futrach.

Futra te stanowią ważną pozycję w sowieckim handlu zagranicznym, rząd płaci tubylcom wysokie ceny — dosięgające przy bardzo cennych sztukach do 200 rubli.



W taki oto prymitywny sposób suszą Jenisejczycy ryby na słońcu.

Powoli nadciągają też — niczem traperzy dawniej w Ameryce Północnej — myśliwi rosyjscy, którzy również polują w tajdze, obfitującej w zwierzynę.

Jeszcze 10 lat temu Ketowie polowali niemal wyłącznie zapomocą łuku i strzał, przyczem do każdej zwierzyny używano innych strzał.

Dziś strzelba wyparła już łuk — chociał dzieci po dziś dzień zaprawiają się w przyszłym rzemiośle myśliwskiem strzelaniem z łuku.

W lecie szeroka i bystra Tungurka, która w niektórych miejscach rozprzestrzenia się do 2 i 3 kilometrów, dostarcza Ketom nieprzebranych ilości ryb.

* * *

Wróćmy jednak — po tych krótkich wyjaśnieniach do niemieckiego badacza.

13 miesięcy spędzonych w tem odludziu, 800 kilometrów od Krasnojarska dały możność zdobycia wielu ciekawych wiadomości.

Korzystając z nowoczesnych wynalazków, dr. Findeisen „nakręcił“ na płyty fonograficzne pieśni i język Ketów, który lingwiści będą mogli w ten sposób studjować na miejscu, w Europie.

Nie mniej rola badacza nie jest łatwą, nie zawsze można z tubylcami rozmawiać, a zwłaszcza wówczas, gdy Ket się spije.

Zasadniczo w tajdze nie wolno sprzedawać alkoholu, **tajga jest „sucha“.**

Ket daje sobie radę, pędząc w pogodzie ducha wstrętną samogonkę, i kupując od rosyjskich „botlegerów“ wódkę — przyczem cena flaszki dochodzi niekiedy do 15 rubli (około 60 zł. według przymusowego kursu rosyjskiego)!

Ogólna pijatyka trwa tak długo, póki cała osada jest już na dobre „pod gazem“ — wówczas to zaczynają się wzajemne czułości i wyzywania, które trwają czasem do 2 dni, gdy zaś na krótko potem znowu pojawi się „botleger“ — pijatyka zaczyna się na nowo — a etnolog czeka cierpliwie na „lepsze czasy“ lub wędruje do innej osady.



W kole: Jenisejka z dzieckiem. — — WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. FINDEISEN.

Wedle wierzeń Ketów światem rządzi bóg Alba. Jest on kowalem i posiadaczem potężnego młota.

Gdy nim wali, pękają skały. Dawniej przebywał on w odległości 25 km. od osady — każdy zna znajdujący tam wielki kamień, stanowiący pozostałość po nim.

Alba żył naogół w spokoju ze swą połowicą — jednakowoż pokłócił się pewnego poranku z nią, skutkiem czego się rozeszli — ona powędrowała nad Jenisej.

Ket-Ostjak wierzy w istnienie 3 światów pozagrobowych — niebo, ziemię i świat podziemny.. W niebie żyje Alba — mieszka on w namiocie brzozowym wraz z tymi, którzy za życia nie splamili się krwią — siedzą sobie tedy w tym namiocie i radzą, a każdy ma wyznaczone swe miejsce.

Na ziemi włóczą się duchy tych, którzy za życia krwią się splamili.

Na szczycie głów mają usta. Nie posiadają rąk, tylko czworo nóg, a każda zaopatrzona jest w cztery palce, żywią się ludzkiem mięsem, dlatego też człowiek strzec się ich musi.

Pod ziemią żyje złośliwa bogini Hosedebaon wraz z swymi towarzyszami — duchami.

* * *

Tak więc i u tych prymitywnych Ketów, spotykamy istotne cechy ogólnoludzkiej moralności — wstręt przed mordem, wiarę w życie pozagrobowe — jednym słowem, wszystko to, co napotkać można w innych społeczeństwach, o tysiące kilometrów odległych.

G.

Poniżej: Chata myśliwych rosyjskich, którzy w czasie zimy polują w tajgach jenisejskich.



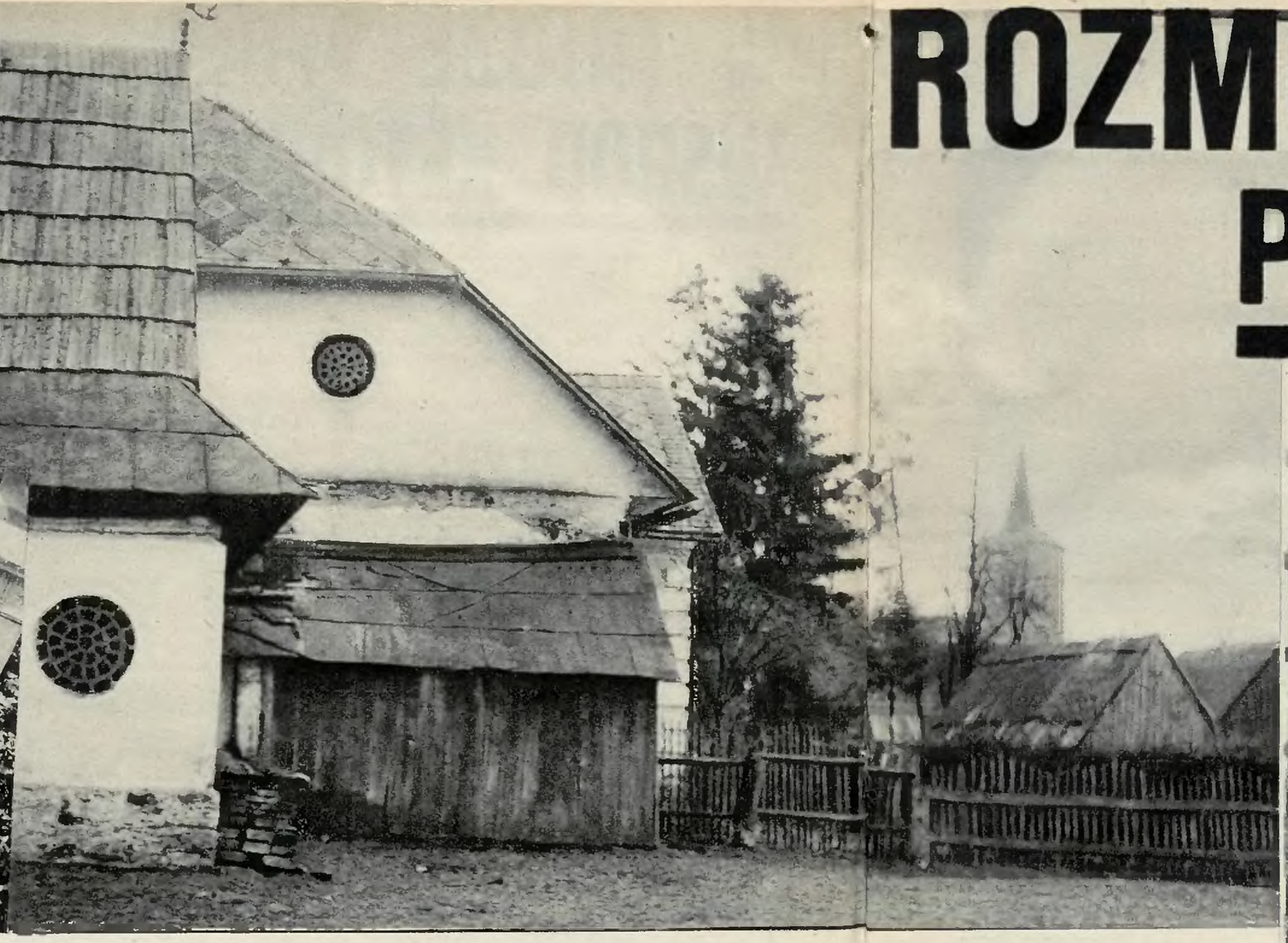
Poniżej: Ket-Ostjak pędzi samogonkę przy pomocy aparatu własnego pomysłu.



ROZMOWA Z TETMAJEREM
PIEWCĄ PODHALA.







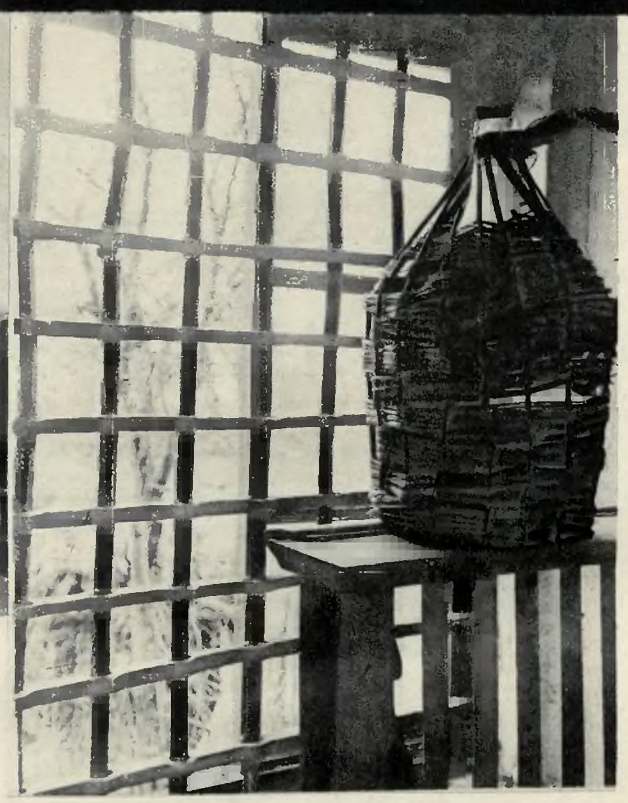






U góry na lewo: Kazimierz Przerwa-Tetmajer, autor „Skalnego Podhala", mieszka obecnie w Warszawie. (Zdjęcie z ostatnich dni wykonane specjalnie dla „Światowida"). — Obok: Pomnik Jana Sabały Krzeptowskiego na Krupówkach w Zakopanem, najsłynniejszego bajarza podhańskiego, którego opowieści słuchał Tetmajer za młodu. — Powyżej: Dom w Ludzimierzu, obok Nowego Targu na Podhalu, w którym urodził się dnia 12-go lutego 1865 r. Tetmajer. W dworku tym obecnie zupełnie przebudowanym mieszka gazda Krupa. Na prawo od domu wieża kościoła w Ludzimierzu. — Na prawo: Dolina Białej Wody w Tatrach z widokiem na Gerlach i Młynarza. — Poniżej na lewo: Uliczka w Ludzimierzu. — Obok: Stary góral, grający na gęślikach na tle pola kwitnących krokusów.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".



Na prawo: Ze starego dworu Tetmajerów w Ludzimierzu zachowała się tylko komora zaopatrzona w żelazne dzwi i kraty. W 1848 r. w czasie rzezi galicyjskiej właściciele dworku schronili się do tej komory przed chłopstwem, które próbowało wtargnąć do środka. Jednakże silne kraty wytrzymały natarcie. Napastnicy zdołali tylko w jednem miejscu przepiłować kratę. Byłoby bardzo pożądane, aby z okazji jubileuszu Tetmajera, w dworku tym wmurowano pamiątkową tablicę. Powinien to uczynić Związek Podhalan.

Na prawo u dołu: Motyw z drogi do Morskiego Oka (na Cyrli).

W roku bieżącym mija 45 lat od chwili wydania drukiem pierwszej noweli Kazimierza Przerwa-Tetmajera p. t.: „Rekrut". W ostatnim dniu grudnia 1886 roku ukazało się to dziełko, a wnet potem zaczęły się coraz częściej pojawiać jego prace najpierw w odcinkach pism, później we formie książkowej.

Dziś Kazimierz Przerwa-Tetmajer, od dziesięciu lat zgórą już nie pisze, zaniechał pracy literackiej wskutek osłabienia wzroku. Nietylko że nie może pisać, ale nawet czytaniem nie wolno mu nadwyrężać oczu.

To też siwowłosy starzec (Tetmajer liczy obecnie 66 lat), żyje obecnie wspomnieniami.

Złożyliśmy mu wizytę.

Tetmajer ucieszony, że jeszcze nie wszyscy o nim zapomnieli, przeprasza, że nie w salonach przyjmuje, w skromnem tylko mieszkaniu, proszony zaś o udzielenie wywiadu, zakłada ciemne okulary, nabija ulubioną fajeczkę tytoniem i zaczyna opowiadać:

— Pracę moją literacką rozpocząłem drukiem noweli „Rekrut" w 1886 roku. Od tego czasu wszedłem na drogę literacką, ogłaszając kolejno 8 tomów poezyj, w tem dwóch tomów drobniejszych utworów, następnie 12 tomów prozą, trzy dramaty wierszem, pięć tomów „Na Skalnem Podhalu" i dwa tomy „Legendy Tatr". Ostatnim utworem jest „Pustynia", wydana w 1920 roku. Teraz, „Panie dobrodzieju", co ja mam Panu jeszcze powiedzieć?

— Może coś o „Skalnem Podhalu", o tem arcydziele Pańskiej twórczości.

— No dobrze. Widzi Pan, dzieło to w roku 1928 podczas plebiscytu, urządzonego przez „Wiadomości Literackie", wysunęło się na pierwsze miejsce. Składa się ono z 40 nowel, opowiadań, z których 38 jest moją oryginalną pracą, zaś dwa ostatnie opracowane na podstawie podań ludowych, chłopskich. Urodzony na Podhalu, we wsi ojca mego w Ludzimierzu, obeznany byłem z gwarą góralską, z charakterem mieszkającego tam ludu. Dlatego też tę zamierzchłą epokę, i te ostatnie typy, które jeszcze mnie były znane, chciałem przedstawić w tej gwarze, jakiej one używały. Opowiadania te nie są żadnem powtarzaniem wydarzeń prawdziwych. Są to historje snute z mej wyobraźni, a oparte na studjum Podhalan. Czytelnik nie znajdzie tam nic wspólnego z dzisiejszem Zakopanem i jego okolicą.

Dalszym ciągiem „Skalnego Podhala" są dwa tomy „Legendy Tatr", czyli „Maryna z Hrubego" i „Janosik Nędza Limanowski". Opowieść ta sięga czasów Kostki Napierskiego, wieku XVII i przedstawia w szerokich rysach typy Podhalan, jak sobie ich z tej epoki wyobrazić mogłem. Nędza Limanowski jest postacią wspomnianą w aktach grodzkich sądeckich, jako ten, który występował zbrojno przeciwko szlachcie, mszcząc się za ataki jej na chłopów. Znane było to powstanie Kostki Napierskiego, rzekomego nieślubnego syna Władysława IV, przeciwko Janowi Kazimierzowi.

Prócz opowiadań prozą, pisałem jeszcze z Podhala kilka poematów, jak n. p.: „Jak Janosik tańczył z cesarzową", „Śmierć Janosika" etc.

— A „List Hanusi"?

— O to drobiazg, nie warto wspominać.

— Ale czy to jest własny pomysł?...

— To jest, „Panie dobrodzieju", list dziewczyny z Zakopanego, napisany do mego brata Włodzimierza. Otóż ja opracowałem ten list, napisałem go wierszem. Taka jest jego geneza. Ale przecież to utwór drobny.

— Czy Pan chętniej pisywał prozą, czy wierszem?

— Wierszem, „Panie dobrodzieju", oczywiście, że wierszem; prozą pisałem dla zarobku.

— Czy Pan wszystko wydał, czy też ma Pan jeszcze jakieś dzieła?...

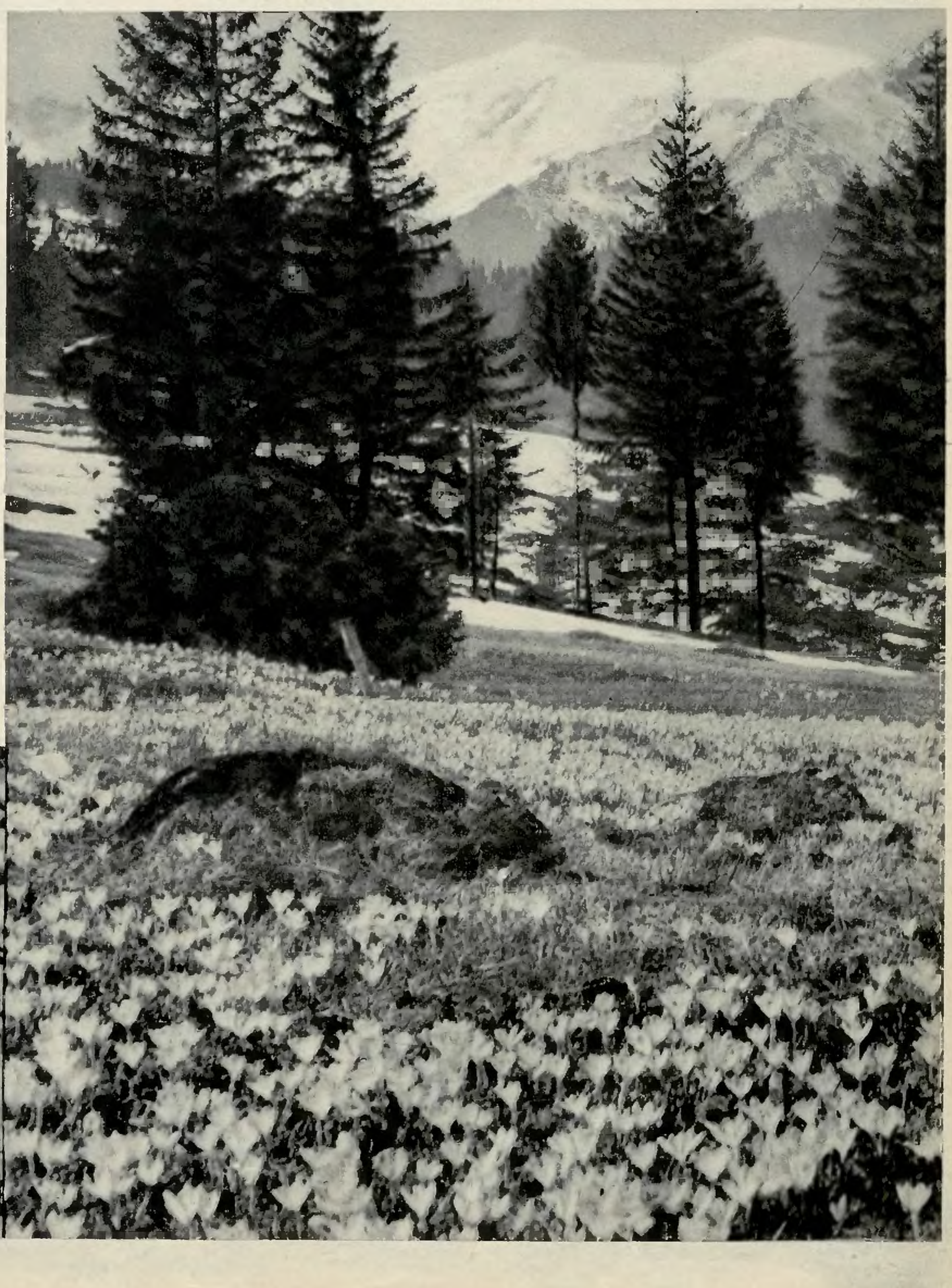
— Wszystko, wszystko, „Panie dobrodzieju", wszystko wydawałem. Tylko moja „Legenda Tatr" nie wyszła nigdy w skorygowanem wydaniu. A to dlatego, że pierwsze wydanie zostało drukowane w piśmie, i potem już wydrukowano je bez korekty. Potem skorygowałem je, ale już nie doczekało się wydania. I tak już pewnie pozostanie. Podobno ta korekta została uwzględniona w wydaniu Bibljoteki Polskiej, stwierdzić tego jednak nie mogę, utraciwszy zdolność czytania wskutek osłabienia wzroku.

— Dziś więc pan już nie pisze?

— Zupełnie nic. „Pokusa", to moje ostatnie dzieło, i na tem zamyka się moja działalność literacka.

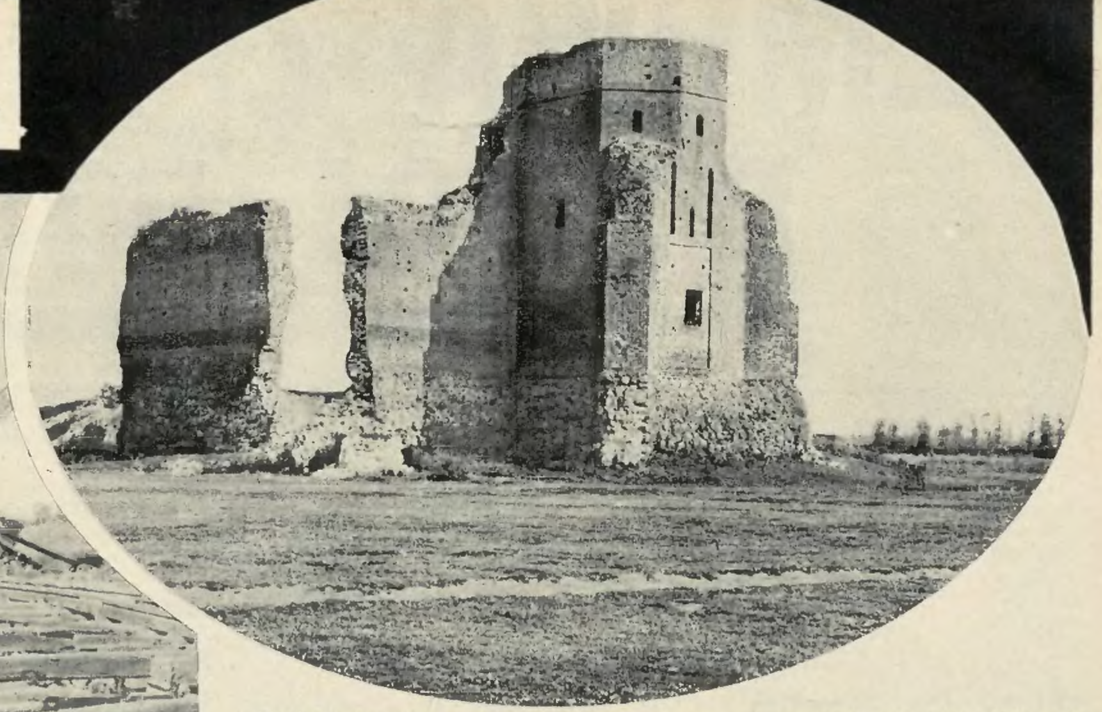
(B. Si).





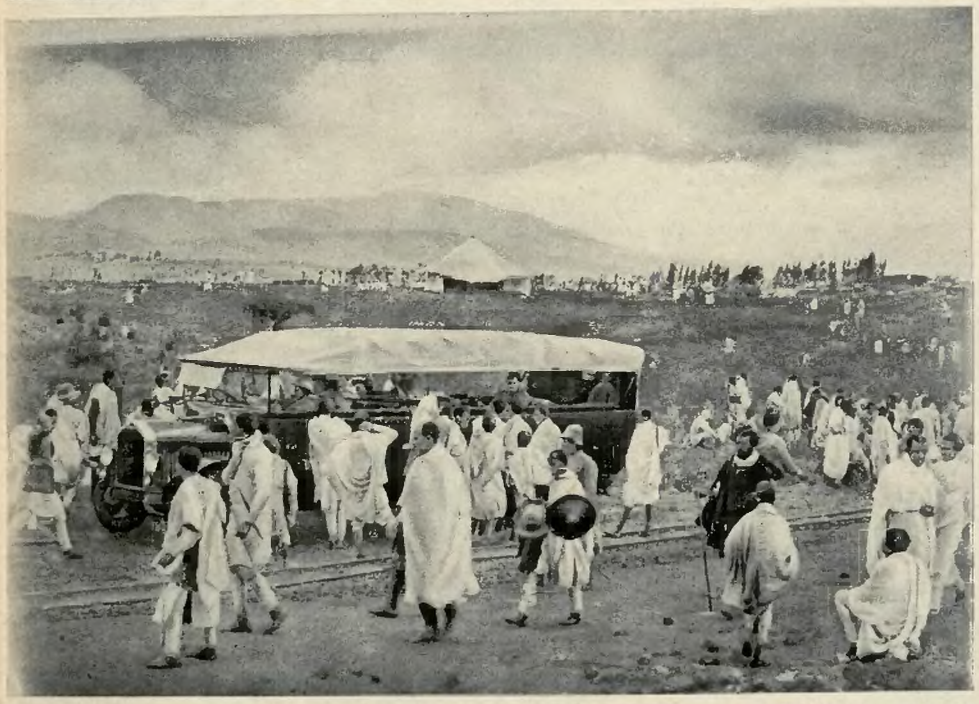
ROZMAITOŚCI.





Ruiny zamku w Liwie. Liwa, leżąca w powiecie Węgrów, była niegdyś grodem Ziemowita. W 127? r. zamek ten został zdobyty przez Jadźwingów. Ks. Mazowieccy w późniejszych wiekach zamek ten umocnili, tak, że Długosz zaliczał go do najsilniejszych na Mazowszu. Obecnie z dawnego grodu zachowała się tylko baszta i okalające ją mury (na zdjęciu).

Obok: **Mussolini w roli opiekuna rybołówstwa.** W okolicach Rzymu znajdują się rozległe bagniska. Na miejsce ich Mussolini kazał obecnie urządzić stawy, przeznaczone do hodowli ryb. W ten sposób Rzym zyska niebawem ogromny sztuczny rezerwat rybny. Na zdjęciu Mussolini dokonywujący inspekcji robót na bagnach pontyjskich. S. Scherl — Berlin.





Jubileusz miasta okularów. Przed stu laty kaznodzieja Jan Duncker z Rathenow w Niemczech (na zdjęciu), dokonał wynalazku maszyny, służącej do szlifowania szkieł potrzebnych do okularów. Wynalazek ten stał się początkiem przemysłu domowego w Rathenow, któremu do dziś dnia oddaje się 3/4 mieszkańców tego miasta. W tych dniach wdzięczna ludność z Rathenow urządziła ku czci swojego dobroczyńcy Dunckera uroczystości jubileuszowe, z okazji setnej rocznicy jego wynalazku. The New York Times.

Powyżej na lewo: **Auta wypierają wielbłądy.** Ras Tafari, władca Abisynji zaprowadził w swoim kraju komunikację autobusową. Na zdjęciu autobus oblegany przez ciekawych. Zastąpił on wielbłądy, dawne „okręty pustyni". R. Sennecke - Berlin.

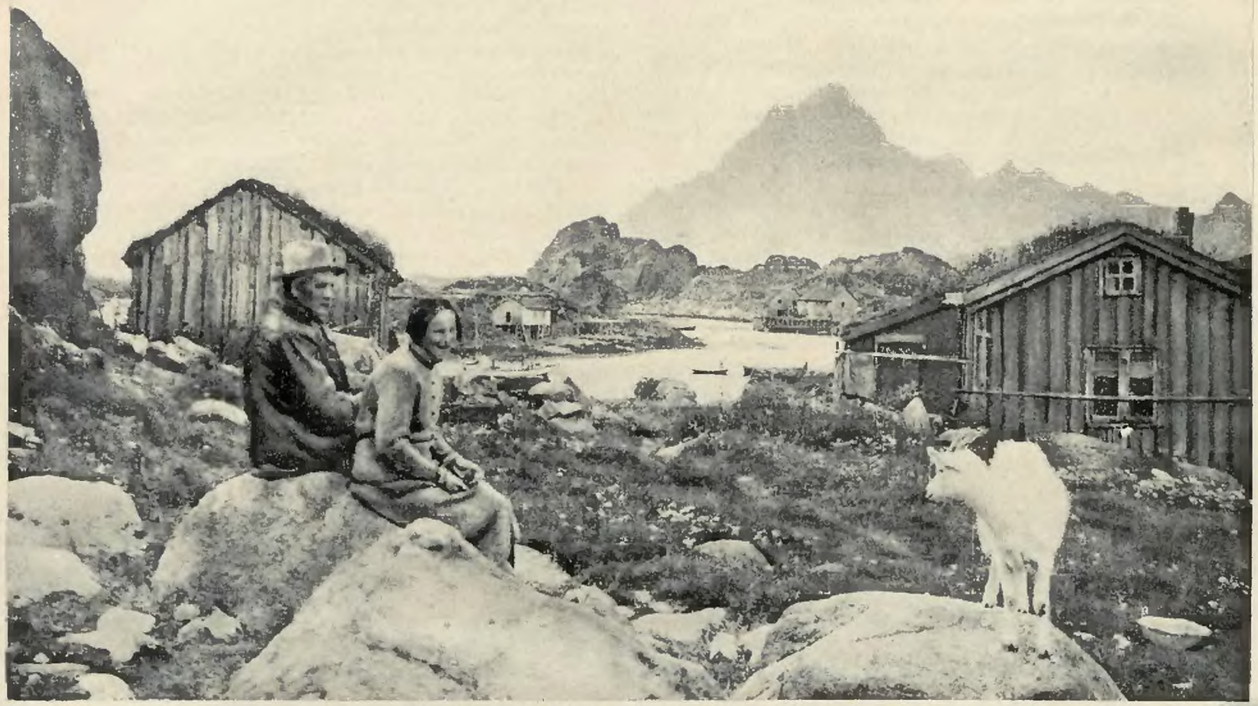
Obok: **Co się dzieje ze zniszczonemi dolarami?** W każdym razie nie pali się ich, tylko po odpowiedniem przerobieniu używa się jako surowca do wyrobu sztucznej skóry, używanej do walizek. Papier bowiem z którego fabrykuje się dolary odznacza się wielką wytrzymałością. Zdjęcie przedstawia stare banknoty dolarowe (wartości 500.000 dolarów), przerabiane na papkę. Powstaną z niej walizki.

W owalu: **Aparatura dźwiękowa na usługach sądu.** Operatorzy filmowi dokonali niedawno w sądzie w N. Jorku ciekawego zdjęcia, a mianowicie utrwalenia na filmie zeznania mordercy Winga, przed prokuratorem Georghanem. Jest to zdaje się najbardziej wiarogodny protokół, jaki kiedykolwiek sporządzono





SEZON POŁOWU DORSZY NA LOFOTACH.



Domki rybackie na Lofotach. Fot. inż. Bugayski

Daleko na krańcach północnej Europy, w odległości dwustu kilkudziesięciu kilometrów powyżej północnego kręgu polarnego, leży rzucony wśród Atlantyku, równolegle do skalistego wybrzeża północnej Norwegji, kompleks dzikich, nagich, wiecznie wilgotnych skał, podobnych do czarnych przedpotowych potworów, wyłaniających się z głębin oceanu. Są to Lofoty.

Z trudem można uwierzyć, aby te groźne, niedostępne skały mogły dać schronienie żywemu stworzeniu; a jednak dotarł tu człowiek, osiedlił się i zżył z tym głazem, zależny od „matki wody“, która jest terenem jego pracy i która go żywi. O „matce ziemi“ nie można tu mówić, bo trudno nią nazwać kilkunastocentymetrową jej warstwę, rzuconą tu i ówdzie wśród granitowej pustyni, gdzie zdobycie kilku metrów kwadratowych podłoża pod ogródek warzywny lub kwiatowy, jest przedmiotem marzeń każdego mieszkańca Lofotów i wymaga nieraz wieloletniej pracy.

Od setek tysięcy lat ciągnie tędy niezmiennie i bytuje cenna ryba — wątłusz, także dorszem zwany. Przychodzi on tu w olbrzymiej masie z dalekich mórz arktycznych od strony wysp Barenta, Szpicbergu i Nowej Ziemi.

Połów tej ryby stanowi w Norwegji trzecią część ogólnej produkcji rybnej kraju i wyraża się cyfrą 6 do 7 tysięcy tonn rocznie.

Rybołóstwo wątłuszowe jest uprawiane na całem wybrzeżu Norwegji od Stavanger do Hamerfest (najbardziej na północ wysunięte miasto Europy) czyli na przestrzeni 1.500 kilometrów, lecz punkt centralny tego rybołóstwa leży w Lofotach, głównie w szerokiej cieśninie, noszącej nazwę Westfjord, dzielącej Lofoty od stałego lądu. Łowiona ryba jest przeważnie dojrzała płciowo w wieku 8—12 lat, o długości ciała 70 cm. do 1 m. i wadze 3 do 7 kg. Trafiają się jednak często egzemplarze o wadze 30 kg. i więcej.

Aby mieć pojęcie o ogromie rybołóstwa na Lofotach, wystarczy powiedzieć, że w sezonie łowi się tu około 20 miljonów sztuk tej ryby, a rybołostwo zatrudnia przeciętnie 20 do 30 tysięcy rybaków. W samej „stolicy“ Lofotów Svolvaer, można w sezonie naliczyć do 3 tysięcy łodzi różnego typu, przeważnie kutrów motorowych o długości 30—55 stóp i motorze 15 do 50 HP.

Sezon wątłusza rozpoczyna się w połowie grudnia i trwa zwykle do końca marca lub połowy kwietnia.

Narzędzia łowu są prymitywne i konserwatywnie przechodzą z ojca na syna. Są to sieci, które wysadza się zwykle po południu, a rano wyciąga z łupem; drugim stosowanym typem narzędzia są liny ręczne, zaopatrzone na końcu w haczyk pojedynczy lub podwójny ze sztuczną przynętą (zwykle cynowa rybka) lub kawałkiem rybiego mięsa. W ostatnich latach wprowadzon t. zw. „snik“ czyli linę obciążoną kamieniem, mającą boczne haczyki z przynętą w liczbie 40—50. Liny te wyrzuca się z łodzi i po krótkim czasie wyciąga z łupem.

Ze zbliżającym się sezonem, ze wszystkich części wybrzeża norweskiego zbiegają się w Lofotach tysiące łodzi w oczekiwaniu na „gościa“. Nowina „wątłusz przyszedł“ niesiona na drutach telegrafu do najdalszych zakątków Norwegji, ściąga nową falę rybacką.

W każdej z tysiąca zatok i fjordów, pustych i martwych poza sezonem, gdzie jedynym dowodem bytności człowieka są maleńkie domki-baraki na palach wzniesione nad wodą, oraz stosy żerdzi do suszenia ryby, wyrasta w ciągu niewielu dni gęsty las masztów i żagli flotyli rybackiej, a brzeg roi się od rybaków. Stwarza to nieporównany obraz „Wild West'u“ nad oceanem. Wyrastają na prędce gospody rybackie, z desek sklecone urzędy pocztowe, zbiega się gromada handlarzy, kupców i rozmaitych agentów, żyjących z rybackiej pracy. Własna policja rybacka utrzymuje ład i likwiduje zatargi między rybakami, które wybuchają często w tej niesłychanej ciasnocie na tle „wchodzenia“ na okupowany przez innego rybaka teren i zastawianie przez niego sieci, uszkodzenie cudzego sprzętu, tamowania ruchu w wąskich zatokach itd.

Dla rybaka rozpoczyna się teraz okres ciężkiej, 3-miesięcznej pracy. W niebywałem zagęszczeniu tego mrowiska ludzkiego, gnieżdżąc się po 10-ciu w maleńkich izdebkach, bez odrobiny mleka, jarzyn, żywiąc się kawą, chlebem, oraz złowioną przez siebie rybą, pracując po 16 i więcej godzin na dobę, pędzi mozolny i niebezpieczny żywot norweski rybak na lofockich skałach i burzliwem morzu.

Już o godzinie 5-tej rano rozpoczyna się ruch w osiedlach rybackich; naprawia się podarte sieci, reperuje sprzęt rybacki itd.

O godzinie 7 rano ruszają rybacy na łów, o ile warunki atmosferyczne na to pozwalają. Wieczorem wraca flota rybacka do swych improwizowanych portów. — Większość rybaków sprzedaje swój połów natychmiast po powrocie. Miejscowi częściowo solą rybę i po wysuszeniu sprzedają jako t. zw. „klipfisza“, lub też wieszają na żerdziach, na których ryba schnie przez parę miesięcy i zostaje później sprzedana jako t. zw. „stokfisz“. Resztę połowu zabierają handlarze na produkcję „klipfisza“, „stokfisza“ lub tranu, który się wydobywa z wątroby wątłusza.

O ile pogoda sprzyja, a wiatry i burze nie przeszkadzają w pracy, jest jeszcze znośnie; biada jednak rybakom, gdy nadejdzie fala sztormów, która nie puszcza ich na morze, a co gorsza, pozrywa i pochłonie ich cenne sieci. Wówczas niejednokrotnie głód i nędza zaglądają do baraków rybackich, a spodziewany zarobek, nieraz podstawa bytu przez cały długi rok dla rybaka i jego rodziny ginie bezpowrotnie.

Zdarzają się wówczas wypadki, że zrezygnowany rybak nie bacząc na niebezpieczeństwa ze strony groźnego żywiołu rusza na łów, aby często z niego nie wrócić.

Nie zraża to jednak pozostałych, którzy wśród trudów i niebezpieczeństw zdradzieckich toni, wyrywają z jej głębi cenną rybę, która pod rozmaitemi postaciami — idzie w świat daleki i niesie sławę norweskiego rybaka.

Inż. Wład. Bugayski.
Norwegja, Bergen 26/X.

Poniżej: Port rybacki w Kobelvaag na Lofotach. Na pierwszym planie żerdzie do suszenia „stokfisza“.
Fot. inż. Bugayski.





Obok:
Rybak norweski z Lofotów.
Francis C. Fuerst - Wien.

kronika filmowa

Jakich napisów żąda publiczność?

Wraz z dźwiękowcami stanęliśmy przed zagadnieniem: co robić z napisami?

Istnieją dwa sposoby. Albo się wkleja osobne pełne napisy, wycinając odpowiedni kawałek akcji filmu, albo się je wkopjowuje w film, a wtedy nie traci się nic z akcji. Niestety, ten ostatni sposób jest o wiele bardziej mozolny. O ile bowiem w pierwszym wypadku, poprostu drukuje się polski napis i przenosi nań odpowiedni dźwięk (to ostatnie niezawsze), o tyle w drugim wypadku sprawa jest znacznie trudniejsza; trzeba bowiem zrobić t. zw. „kontratyp“, to jest kopję pozytywu i dopiero tu wkopjować napis. Przez to zaś film traci, bo „kontratyp“ to już nie oryginalny pozytyw.

A jednak wypowiemy się raczej za napisami wkopjowanemi. Gdy bowiem napisy są wklejane, wycina się dość dużo filmu i tracimy wtedy conajmniej połowę, często i znacznie więcej akcji i szczegółów obrazu. Zdarzało mi się niekiedy widzieć filmy pełne, a potem zoperowane przez wklejacza napisów i aż przykro się robiło na myśl o tem, ile widz traci, i do jakiego stopnia piękna gra aktora została pokiereszowana. Zostawały z niej jedynie szczątki. Kto ogląda film z napisami wklejonemi, nawet sobie nie wyobraża, ile pięknych wrażeń mu zabrano. Jest nieświadomie, a jednak bardzo dotkliwie okradziony. Za swoje pieniądze ogląda niekiedy tylko 60—70 procent oryginalnego filmu.

„Kradzieży“ tej unika się przy systemie napisów wkopjowanych, które akcji filmu ani na chwilę nie przerywają. Traci się wtedy jednak na tem, że trzeba pracować sposobem „kontratypowym“. Ale to bodaj mniejsze zło. A jest wyjście z tej sytuacji. Można pracować z negatywu. Coprawda, do tego trzeba wyjeżdżać do kraju wytwórczego. Gdy chodzi o filmy niemieckie i francuskie, podróż nie jest tak kosztowna i niektóre polskie biura wynajmu filmów na to się godzą; natomiast gorzej jest, gdy chodzi o filmy amerykańskie. Trudno żądać, aby wysyłały swego pracownika aż do Ameryki. Lecz i na to jest sposób. Niechby wytwórnie amerykańskie przysyłały choćby jeden negatyw dla użytku krajów europejskich, lokując go w Paryżu lub w Berlinie. Dość chyba zarabiają na nas! Niechże w interesie widzów europejskich zrobią to ustępstwo, na czem, zresztą, zyska poziom, a więc i wartość ich filmów.

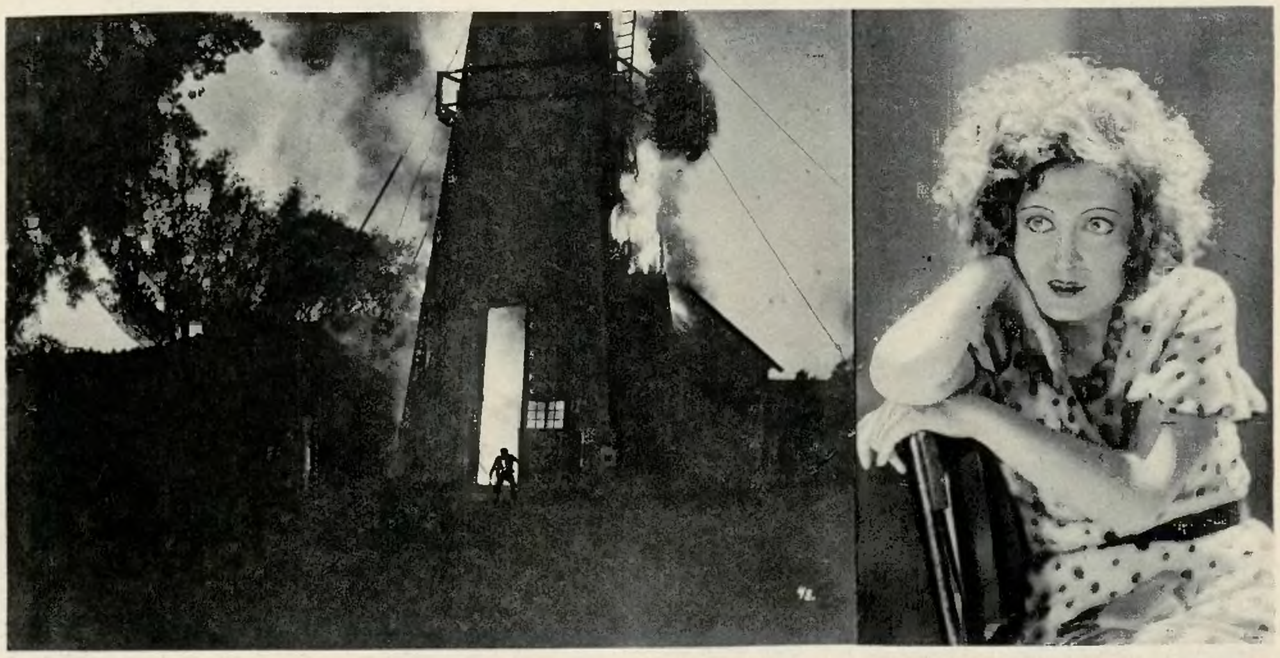
Jest jeszcze sposób kombinowania napisów wklejonych z wkopjowanemi, ale to tylko półśrodek. Istnieje wreszcie możność t. zw. podkładania djalogów polskich, a wtedy nasi aktorzy mówią za bohaterów obrazów zagranicznych. Niestety, eksperymenty w tej dziedzinie nie dały dobrych wyników. Nie przyjmie się też u nas stosowany niekiedy sposób „konferansjerki“.

Słowem, w imieniu dobra filmu i interesu artystycznego widzów należy zaniechać stosowania napisów wklejanych! Wszyscy miłośnicy ekranu żądają tylko napisów wkopjowanych i to takich, które są robione z negatywu. Co biuro straci na zwiększonych kosztach, to zyska na niewątpliwie spotęgowanej frekwencji publiczności.

H. Liński.



Witold Conti, bohater „najbliższych“ polskich dźwiękowców i ulubieniec płci pięknej przesyła pozdrowienia dla Czytelników „Światowida“. Fot. „Forbert“.



Jednym z najbardziej sensacyjnie zapowiadających się filmów polskich jest „Szyb L. 23“. Zamieszczone powyżej zdjęcie przedstawia efektowny moment pożaru szybu naftowego z tego właśnie filmu. Na prawo: Bohaterka obrazu, Baśka Orwid — polska Joan Crawford.

Plotki... Ploteczki...

W FILMIE „SZYB L. 23“ role główne grają Jerzy Marr i Baśka Orwid. Zdarzają się między nimi oczywiście i sceny miłosne. Ponieważ uchodzą za rodzeństwo, znaleźli się więc podczas nieuchronnych „kibiców“ ludzie, sarkający na to. Mówili, że nawet takie „udane“ pocałunki „na niby“ — jednak między rodzeństwem, nie uchodzą, że to będzie gorszyło widzów na ekranie. Pomijając już zupełną niedorzeczność tych urojeń, śpieszymy zakomunikować, że wszystko polega na nieporozumieniu. Piękna Baśka Orwid jest zaledwie t. zw. „mleczną“ siostrą Jerzego Marra.

* * *

W CZECHOSŁOWACJI powstała nowa wytwórnia pod nazwą „Burian-Lamac-Film“ — z kapitałem zakładowym 100.000 koron. Właścicielami są znany komik Vlasta Burian i reżyser Karol Lamac.

* * *

WYTWÓRNIA „FOX-FILM“ miała w ostatniem półroczu zaledwie 120.000 dolarów czystego zysku. Wobec tego zrezygnowano z wypłacenia dywidend.

Krążą pogłoski o mających nastąpić zmianach w kierownictwie. Między innemi stanowisko naczelnego dyrektora Foxa ma objąć dotychczasowy vicedyrektor Metro Goldwyn Mayer — p. Louis Mayer.

* * *

LEWIS STONE, doskonały wykonawca ról eleganckich starszych panów, stracił niedawno temu otaczający go przysłowiowy spokój.

Wracał on właśnie do domu z przejażdżki konej, gdy na drodze swego ogrodu spotkał dwoje młodych dziewcząt i dwóch młodzieńców z rakietami tennisowemi w ręku. Zatrzymał ich i zapytał, czego sobie życzą. Ponieważ po dłuższym spacerze na świetnym koniu był zupełnie zakurzony, młodzi ludzie nie poznali go i odpowiedzieli: ...Chcielibyśmy na placu tennisowym pana Stone zagrać partyjkę, kort jego jest podobno doskonały...

...A czy pan Stone zna was? — zapytał artysta.

...Właściwie to nie, ale my znamy go z talkiesów jako bardzo wspaniałomyślnego i jesteśmy przekonani, że napewno nie będzie temu przeciwny, gdy u niego zagramy.

ZABAWNY PRZYPADEK zdarzył się czarującej artystce Krystynie Ankwiczównie, gdy wracała do Warszawy, śpiesząc na zdjęcia atelierowe do filmu „Cham“ według Orzeszkowej, w którym gra, jak wiadomo, główną rolę niewieścią. Przybyła na dworzec nieco późno. Wszystkie miejsca już były zajęte. Tylko jeden przedział był niemal cały wolny. Siedziała w nim jakaś starsza dama, o wielce zgryźliwym wyrazie twarzy.

Urocza p. Krysia usiadła w tym przedziale i wyjęła z walizeczki przygotowane na drogę „I. K. C.“, „Światowida“ i „Tajnego Detektywa“, którego jest zamiłowaną czytelniczką. Założyła nogę na nogę. Podróżna sukienka była bardzo krótka, odsłoniła więc niemal do kolana śliczną nóżkę artystki. Starsza dama była snać bardzo zgorszona i wyniósłszy na korytarz swą walizkę, usiadła na niej ze słowami:

— „Z filmówkami nie mam przyjemności!“

* * *

PO WARSZAWIE spaceruje teraz mnóstwo „brodaczy“, o których wiadomo, że nigdy dawniej bród nie nosili. Są to młodzi, przystojni chłopcy, których te brody raczej szpecą. A oto ujawnienie tej tajemnicy:

Są to wszystko młodzieńcy, którzy grali dla reżysera Lejtesa Poleszuków w jego filmie „Dzikie Pola“, nakręcanego na Pińszczyźnie. Obecnie już ekspedycja wróciła i ma przystąpić do nakręcania scen atelierowych. Ponieważ, oczywiście trzeba niemi uzupełniać zdjęcia plenerowe, więc ta „naturalna“ charakteryzacja musi pozostać. Reżyser Lejtes zaś — i słusznie — nie uznaje charakteryzacji sztucznej, bo ona we filmie zazwyczaj razi.

* * *

(tf) **NAZWISKO MAC LAGLEN** staje się popularne. Mianowicie, dwaj bracia Victora Mac Laglena, sympatycznego brutala, bohatera „Świata w płomieniach“, „X — 27“ i wielu innych filmów, sięgają również po laury ekranowe.

Clifford Mac Laglen po bezsukcesowych, epizodycznych rólkach w Hollywood przybył do Europy. Tu debjutował jako partner Jenny Jugo w filmie „Dziewczyna z Majorki“. Obecnie gra w nowym filmie niemieckim, obok Alfreda Abla.

Teraz znowu drugi brat Victora, młody Arthur Mac Laglen gra w filmie „Paramountu“, reżyserji Roberta Mamouliana „Dziwna przygoda dra Jekylla i mr. Hyde'a“, według słynnej powieści Stevensona.

* * *

PODOBNO JEST PROJEKTOWANY jeszcze jeden film polski, w którym główną rolę obejmie znana z „Przedwiośnia“ Jaga Boryta, siostra Zbyszka Sawana, jedynego w tym sezonie „bezrobotnego“ z plejady polskich amantów filmowych.

W ANGLJI zabroniono wyświetlać film „Tragedja amerykańska" bez prawa rekursu.

* * *

BETTY AMANN została zaangażowana przez wytwórnię angielską B. I. P. (British Int. Picture") do filmu „Stroctly Business".

* * *

PODCZAS ZDJĘĆ do filmu „Bezimienni bohaterowie" niektóre statystki zbyt natrętnie usiłowały zbliżyć się do grających główne role Brodzisza i Boda. Nie mogąc przeszkodzić temu ich „pociągowi", uniemożliwiającemu pracę, reżyser Waszyński napisał na plakatach, umieszczonych na garderobach tych artystów: „Tu się ubiera Adam Brodzisz... Nie zbliżaj się doń, bo... urodzisz..." oraz „Tu się ubiera Eugenjusz Bodo... Nie patrz mu w oczy, bo cię uwiodą..."

* * *

DOUGLAS FAIRBANKS zamierza podróż powietrzną do rzeki Amazonki celem nakręcania tam filmu podróżniczego. W wyprawie tej ma mu towarzyszyć Mary Pickford.

Co obecnie nakręcają?

(tf.) **ROBERT SIÓDMAK,** Krakowianin z pochodzenia, jest w tej chwili jednym z pierwszych reżyserów berlińskiej „Ufy". Obecnie Siódmak kończy prace nad filmem „Burza namiętności", w którym role główne grają: Emil Jannings, Anna Sten, Trude Hesterberg, Julius Falkenstein, Antoni Pointner. Muzykę pisze Fryderyk Holländer, autor ilustracji muzycznej do „Błękitnego anioła".

Równocześnie Siódmak przejął reżyserję filmu historycznego „Yorck", zaczętego przez Gustawa Ucicky'ego. W tym interesującym filmie wystąpi w roli tytułowej Werner Krauss, po raz pierwszy w filmie mówionym, dalej Raul Aslan i Walter Jansen.

* * *

AMERYKAŃSKA wytwórnia „R. K. O. — Pathe", zaczyna kręcić pierwszy film dźwiękowy Poli Negri p. t. „A woman commands" (Kobieta rozkazuje).

* * *

NIEDAWNO UKOŃCZONE zostały zdjęcia najnowszego filmu Henny Porten p. t. „Luiza, królowa Prus". Reżyserja Karola Fröhlicha. Premjera tego filmu odbędzie się w tych dniach w największym kinoteatrze Berlina „Ufa Palast am Zoo".

* * *

WYTWÓRNIA PARAMOUNT przygotowuje realizację filmu dźwiękowego „Wielka księżna i chłopiec hotelowy" według sztuki Alfreda Savoir. Rolę główną, którą w filmie niemym kreował Alfred Menjou — odtworzy obecnie Fernand Gravey.

* * *

KONFLIKT między reżyserem Dupontem a wytwórnią niemiecką „Emelka" został pomyślnie zlikwidowany. Dupont cofnął swoją skargę i prawdopodobnie podejmie się realizacji filmu dla tej wytwórni. Chodzi o sfilmowanie znanej powieści „Piotr Voss, złodziej miljonów".

* * *

JACK TOURNEUR, syn znanego reżysera Maurycego Tourneur'a i jego asystent, kręci swój pierwszy film „Wszystko to nie jest warte miłości" z Marcelem Levesque i Joselyną Gael.

* **

RAYMOND BERNARD ukończył realizację filmu „Krzyż drewniany" według powieści Dorgelesa z Charlesem Vanel i Piotrem Blanchar w rolach głównych.

*

ANNY ONDRA i Iwan Petrowicz nakręcają w Joinville pod Paryżem dźwiękowy film p. t. „Nietoperz".

* *

REŻYSEROWIE Karol Lamy i Belieres nakręcają obecnie ciąg dalszy znanego filmu „Lewy i Spka" p. t. „Galerje Levy'ego.

* * *

MAJOR C. TREATT nakręca w Afryce wielki film kolorowy z życia murzyńskiego szczepu ludożerców „Dinka". Tytuł filmu „Walka o życie".

Upadłość „Saschy".

Wiedeń, w październiku.

Wieść o ogłoszeniu niewypłacalności przez wiedeńską wytwórnię filmową „Sascha", która właśnie w ostatnich kilku latach poszczycić się mogła całym szeregiem filmów, na wysokim poziomie stojących, przyszła w zasadzie zupełnie niespodzianie.

Po kryzysie koncertowym i teatralnym w stolicy naddunajskiej, który w całej pełni uwypuklił zwycięski pochód filmu dźwiękowego, stanowi bankructwo największej wytwórni wiedeńskiej fakt zgoła niepojęty, a wytłumaczalny jedynie brakiem stosownej inicjatywy ze strony kierownictwa. Jak długo żył bowiem i działał założyciel tej wytwórni, hr. Sascha Kolowrat, cieszyły się filmy wiedeńskie wielką popularnością, stojąc na wysokim poziomie artystycznym i przewyższając ujęciem tematu częstokroć produkcję niemiecką.

Przyznać jednak trzeba, że Wiedeńczycy nie umieli wyzyskać materjału, jaki im nastręczały tak zabytki miasta, jak też i jego krajobraz. To też nie należy się dziwić, że sprytne wytwórnie amerykańskie ubiegły w tej dziedzinie produkcję wiedeńską, fabrykując masowo filmy wiedeńskie w... Ameryce, które potem przychodziły nad modry Dunaj, będąc nie byle jaką farsą ze względu na zmieniony krajobraz i budynki, konstruowane w fantazji, nie mówiąc już o języku angielskim, którym posługują się ...Wiedeńki, śpiewające pieśni ludowe na... heurigerach...

Widać jednak, że interes ten nieźle idzie, skoro Amerykaniew ykupują w Wiedniu masowo... stare mundury generalskie byłej c. k. armji, nie gardząc nawet bluzą „komiśniaka", w której aktor amerykański robi na gwałt... Wiedeńczyka. Słusznie też zauważyło jedno z pism tutejszych, że Amerykanie zakupiliby nawet pałac cesarski w Schoenbrunnie dla celów filmowych, gdyby go tak można przewieźć okrętem na drugą stronę „wielkiego stawu".

„Sascha" nie próżnowała jednak. W jej rozległem atelier w Siveringu, wyposażonem w najnowsze zdobycze techniki, wrzała praca od rana do wieczora. Kręcono tam także i polskie filmy (nieme), ze względu na doskonałość aparatów, oraz na nieprzeciętną pracę operatorów.

Jednakże katastrofa finansowa, jaka spadła na Niemcy w związku z bankructwem Danatbanku, wycisnęła także swe piętno na wiedeńskiej produkcji filmowej, związanej gospodarczo z kapitałami niemieckiemi. Ostatni film „Saschy" p. t. „Wielka miłość", nakręcany obecnie kapitałem specjalnie na ten cel zmobilizowanym, będzie zarazem łabędzim śpiewem tej wytwórni, która zniknie wkrótce raz na zawsze z „horyzontu" filmowego.

Oryginalnym jest ostatni obraz z tego powodu, że nie grają w nim aktorzy zawodowi, jeno amatorzy. W roli arystokratów występują prawdziwi arystokraci, w roli żebraków prawdziwi żebracy itd. Jest to więc film naprawdę z życia wzięty i przez dotkniętych tem życiem odegrany.

Kończy on w ten sposób działalność „Saschy", będąc ostatnim aktem tragedji wielkiej wytwórni, która nie umiała dotrzymać kroku — twardej rzeczywistości.

M. Lisowski.







Za kulisami atelier „Uniwersal'u" podczas nakręcania filmu „W buduarze dyplomaty". Piękna Mary Duncan w towarzystwie reżysera i aktorów.

Obok: Josephine Baker, słynna wedetta rewjowa i aktorka filmowa odwiedza kurnik w swej posiadłości Vesinet.

Poniżej: Laureatka wszechwęgierskiego konkursu fotogenicznego Sari Maritza, która mając dopiero 17 lat, już została „gwiazdą" filmową, zaangażowana przez „Ufę".

W POWIETRZNYM EKSPRESSIE LONDYN-AMSTERDAM.



(Korespondencja własna „Światowida“).

AMSTERDAM, w listopadzie.

Lotnisko w Croydon pod Londynem spowite jest jeszcze mgłą, która waży się nad soczystą zielenią trawy. Z mgły wybłyskują zarysy hangarów, na których dachy spada ukośne słońce. Tu i tam na olbrzymiem kolisku aerodromu, poznaczonego białemi linjami i usianego sygnałami, krzyżami z lamp, dających ognisty znak lotnikom w nocy — majaczą aluminjowe skrzydła samolotów, czekających na start. Jesteśmy na jednym z największych lotnisk świata.

Stąd prowadzą linje ku Paryżowi i Brukseli, stąd wylatują olbrzymie „Fokkery“, należące do potężnej sieci „Imperial Airways“, które zmierzają ku piaskom Arabji, a potem nad groźną zatoką perską do Kalkuty i Bombaju. Stamtąd startują olbrzymie ptaki stalowe, przecinające Europę w poprzek, a potem szybujące nad gwarnem Kairo, nad wstęgą Nilu — het dalej ku rozprażonemu w słońcu Kapsztadtowi. Tutaj w Croydon bije puls całego niemal świata osnutego pajęczyną lotniczych linij.

Potęga cywilnego lotnictwa w Anglji występuje dopiero plastycznie w tej gromadzie jedno i dwupłatowców, których kształty mają w sobie coś z brutalnej siły. Warkot śmig, rozpędzonych motorów czyni szum nad całem lotniskiem, które zwolna oswobadza się z mgły. Olbrzymi „Fokker“ z połyskującemi skrzydłami z duraluminjum, jeden z ekspressów lotniczych, łączących starą Anglję z lądem europejskim, gotuje się do startu. Olbrzymia śmiga jak apokaliptyczne ramię puszczone w zawrotny ruch obrotowy przekreśla horyzont, poczem przechodzi w pęd tak szybki, że nie widać już jej zarysów, lecz tylko niesamowite drganie powietrza. Piloci nakładają skórzane kombinezony i rzucając ostatni papieros w trawę, wchodzą na stanowisko. Gromadka podróżnych wkracza po drabince jeden za drugim do wspaniałych kabin samolotu. Jeszcze chwila, a samolot oderwie się od ziemi.

Podpórki przytrzymujące koła zostały usunięte przez sprawnych robotników. Samolot drży od warkotu motoru, który zdaje się rozsadzać aluminjowe ściany olbrzymiego kadłuba. „Fokker“ toczy się po gładkiej murawie, jak wielki żuk, szukający żeru. Nabiera pędu pod koła, a wreszcie przychodzi niedostrzegalny moment, który jednak każdy pasażer odczuwa lekiem „piknięciem“ koło serca: oderwanie się od ziemi. Samolot warczy i wspina się w długich spiralach ku górze, ponad błyszczące hangary, ponad zasiąg mgły i olbrzymie drzewa, rozsiane poza aerodromem croydońskim.

Przez szerokie, niemal że weneckie okna samolotu widzi się jak w kalejdoskopie przemykające w dole rojowisko dróg, oplatających aerodrom w Croydon. Potem wypiętrzają się w dole łagodne wzgórza Surrey'u, usiane czerwonemi i kremowemi blokami will. Wszędzie zieleń, cudowna angielska zieleń, w której odróżniamy płaty łąk od ciemnych plam drzew, chluby Anglji. Samochody biegnące białemi taśmami dróg, zdają się iść żółwim krokiem, chociaż napewno osiągają chyżość ponad 100 klm. Od czasu do czasu zamajaczą w dole drobni jak przecinki gracze w golfa, uwijający się na zieleni łąk.

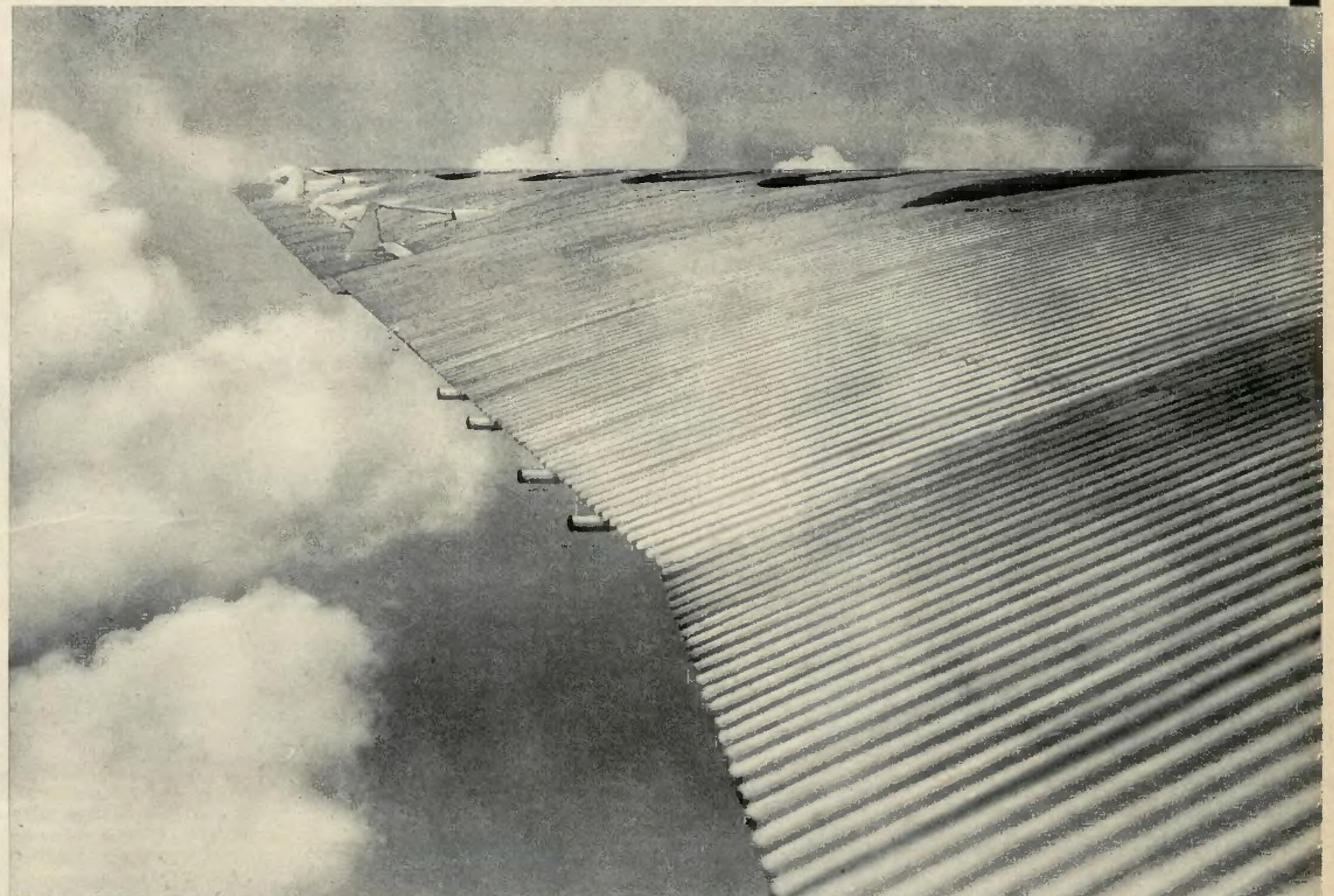
Gdy nasyciliśmy się już pierwszemi wrażeniami krojobrazowemi, można przyjrzeć się spokojnie wytwornemu wnętrzu samolotu, który niesie nas ku Amsterdamowi. Mahoniowe stoliki i wygodne kanapy, przypominają najwybredniejszy wóz restauracyjny. Wszędzie drobiazgowa czystość, przejawiająca się zarówno w chodnikach rozścielonych na dwie kabiny, jak w metalowych popielniczkach na papierosy. Linje angielskie słyną z dbałości o wygodę swoich pasażerów, a jeżeli chodzi o koszta, to starają się utrzymać je poniżej cen przejazdów kolejowych drugą klasą. Ponieważ kolej angielska jest bardzo słona, więc nic dziwnego, że lotnictwo cywilne zyskało sobie tam szeroki zasięg publiczności.

Wybrzeże Anglji urywa się biało-szaremi skałami kredowemi, za któremi poczyna się szaro-sina toń morska. To kanał La Manche, teren wielce niebezpieczny dla lotnika, obfitujący w mgły, wynurzające się zupełnie niespodzianie, w nieprzyjemne „dziury“ i wyrwy powietrzne. Na szarej tafli wody pojawiają się smugi zwełnionych fal. Drugi ślad wyraźny — to pióropusze dymów, które skręcają się nad kominami parowców przecinających Kanał Angielski. Każdy z parowców zostawia za sobą szeroką brózdę, która występuje wyraźnie w słońcu igrającem coraz jaśniej na niespokojnej toni.

Wreszcie z szarzyzny morza występują wyraźnie ramiona wysuniętego lądu. Ramiona te biegną coraz to szybciej ku samolotowi i powoli zarysowują się na nich linje domów, maleńkich osiedli rybackich, masztów, na których pozawieszano sygnały, kutrów i szalup kolebiących się przy brzegu. Kolor szary zmienia się na płowy — to witają nas diuny Holandji.

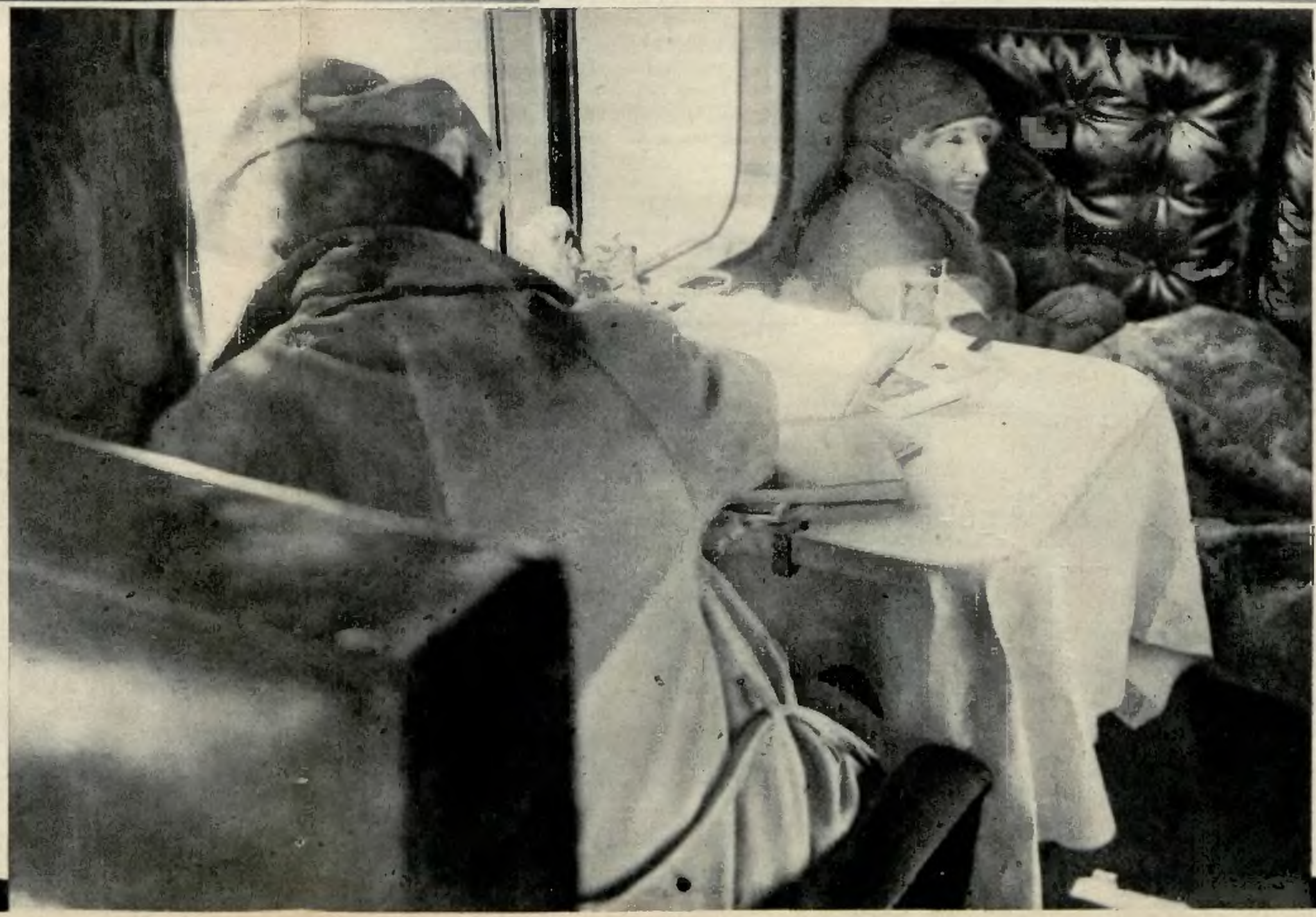
Na lewo:

Z szybkością 160 km. na godzinę szybuje potężny trzymotorowy „Fokker“ z Londynu do Amsterdamu.



Na prawo:

Aluminiowe skrzydło samolotu pasażerskiego przecina białe zwały chmur.



Poniżej:

Bezpiecznie czują się pasażerowie w wygodnej kabinie samolotu.

ZDJĘCIA AGENCJI FOTOAKTUELL — BERLIN.

Naprzeciwko czoła samolotu powstaje rojowisko domów miasta Haarlem, na lewo i prawo rozkładają się piaszczyste plaże kąpieliskowe i dalej dzikie plaże, na których suszą się sieci na wielkich żerdziach. Za Haarlemem wykręca samolot ponad piaszczyste pustkowie, poznaczone od czasu do czasu ciemniejszemi cieniami sosen i kultur drzewnych. Monotonję krajobrazu przerywa szaro-błękitne jezioro Haarlemskie, na którem jak kropki czernią się łodzie.

Za jeziorem Haarlemskiem majaczy już w mgle Amsterdam, z wielkiemi blokami domów, modernistycznych brył o kolorycie czerwonym. Kanały Amsterdamu połyskują w słońcu, a zniżający się samolot ogląda coraz wyraźniej tłoczące się na kanałach barki i tratwy i las kominów i masztów w porcie amsterdamskim. Wielki zalew Zuider See okręca się wokoło samolotu, który zmierza ku lotnisku amsterdamskiemu. Motor ustaje i samolot poczyna opadać w ruchach wolnych i harmonijnych, potem krótki wstrząs i koła samolotu stykają się z ziemią i przechodzą w nerwowy bieg po trawie lotniska. Stajemy. Drzwi kabiny otwierają się i pojawia się w nich uśmiechnięta twarz holenderskiego urzędnika, który pozdrawia przybyszów.

Za chwilę samochód pędzi asfaltową szosą ku miastu najnowocześniejszej architektury, najsmaczniejszych serów i sennych kanałów — Amsterdamowi. G.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.





Powrót Lavala do Paryża. Premjer francuski Laval powrócił już do Paryża po swojej podróży do Ameryki, gdzie wespół z Hooverem omawiał najważniejsze problemy gospodarcze świata. — Zdjęcie przedstawia Lavala w towarzystwie swojej córki po przybyciu do Paryża.

Trampus — Paris

Rocznica rewolucji brazylijskiej. W październiku odbyły się w Rio de Janeiro wielkie uroczystości z okazji rocznicy zwycięstwa rewolucji w Brazylji. Przy tej sposobności prezydent Vargas zdawał sprawozdanie z poczynań rządu w ciągu ub. roku. Zdjęcie przedstawia dygnitarzy państwowych, słuchających przemówienia Głowy państwa. The New York Times.



Na lewo:

Śmierć przywódcy górników angielskich. Dnia 2 b. m. zmarł w Hamstead A. J. Cook (na zdjęciu), sekretarz związku zawodowego górników, który odgrywał także wybitną rolę w ruchu robotniczym na terenie międzynarodowym. W roku ub. bawił Cook na Kongresie górniczym w Krakowie.



Echa powstania na Cyprze. W całej Grecji żywe zainteresowanie wywołał bunt na Cyprze, zwrócony przeciwko Anglji. Ludność bowiem Cypru jest przeważnie pochodzenia greckiego i dąży do zjednoczenia ze swoją macierzą. Oficjalnej polityce greckiej, dbającej ze względów gospodarczych i finansowych o poprawne stosunki z Wielką Brytanją powstanie to nie było na rękę. Opinja jednak publiczna w Grecji powitała je z entuzjazmem, manifestując żywiołowo na rzecz braci z Cypru. Zdjęcie przedstawia manifestację uliczną studentów ateńskich.



Smutny koniec pływającej spelunki. Parowiec „Pastime" nie odbywał długich podróży, ale trzymał się w pobliżu Nowego Jorku, będąc pewnego rodzaju pływającem dancingiem, gdzie można było spędzić wesoło czas na tańcach i zabawie. Ponieważ jednak przedsiębiorstwo, do którego należał ten okręt zbankrutowało, przeto rząd amerykański pragnąc radykalnie zniszczyć spelunkę, w której nie bardzo liczono się z prohibicją kazał ją wysadzić dynamitem w powietrze (na zdjęciu).

TEATRY WILEŃSKIE.

Fala przesilenia, która tyle zamętu narobiła w życiu teatralnem całego kraju, szczęśliwie ominęła w tym roku teatry wileńskie. Zmiana na stanowisku kierownika odbyła się spokojnie, bez wstrząsów. Dyr. Aleksander Zelwerowicz po dwuletniem sterowaniu sceną wileńską ustąpił miejsca dyr. M. Szpakiewiczowi, żegnany ze szczerym żalem przez społeczeństwo miejscowe, które ten znakomity artysta i reżyser zdobył swoją pracą rzetelną, nacechowaną głębokiem rozumieniem specyficznych zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Wilnie.

Sezon bieżący rozpoczął się w połowie września. — W „Lutni" na pierwszy ogień poszła „Panna mężatka" Korzeniowskiego w reżyserji Stanisławy Wysockiej (w roli tytułowej przemiła p. Irena Brenoczy), w teatrze na Pohulance (tradycyjnie zwanym „Redutą") „Horsztyński" Słowackiego z udziałem Juljusza Osterwy, występującego okresowo. Był to początek chlubny ale i bardzo śmiały, jeżeli się weźmie pod uwagę wyjątkowo krytyczny okres, w jakim dyr. Szpakiewicz rozpoczął pracę. Okrojone do minimum subwencje, zastraszający spadek frekwencji, spowodowany rosnącą biedą i dający się we znaki już w poprzednim roku, nie wróżyły nowemu dyrektorowi nic dobrego. W takich warunkach rozpoczynać Słowackim i Korzeniowskim w imię ambicji artystycznej było krokiem niezmiernie ryzykownym. Ale ten pierwszy krok udał się: publiczność wileńska poszła na klasyków, wbrew złowróżebnym przewidywaniom pesymistów. Obie inauguracyjne premjery zrobione „czyściutko", poziom gry równy, zespołowy, oprawa sceniczna p. Wiesława Makojnika skromna (z powodu ciężkich czasów) ale i pełna godności artystycznej. — Z kolei ujrzeliśmy „Ładną historję" Caillaveta i de Fleursa również z udziałem Osterwy, dalej trzyaktowy dramat Maughama „Święty płomień", w którym Wysocka dała kapitalną kreację matki — zabójczyni własnego syna, potem jako sui generis ustępstwo na rzecz gustu „szerokich mas" mieliśmy wojenno-szpiegowską „Matrykułę 33", zresztą niezbyt przez te „szerokie masy" uczęszczaną.

Tempo pracy wileńskich teatrów jest ostre: sześć premjer w ciągu miesiąca, a więc co dziesięć dni premjera. Dlatego w pierwszym miesiącu tego sezonu oprócz sztuk wymienionych wystawiono — moljerowskie „Igraszki Skapena" (doskonały Skapen — Ziemowit Karpiński), głównie z myślą o młodzieży szkolnej, a jednocześnie w drugim teatrze „Złoty wiek rycerstwa", wypróbowany już przed wojną, niezawodny środek do rozbawienia publiki: tutaj zbierał huczne brawa wykonawca głównej roli p. J. Ciecierski, tryskający żywiołowym komizmem.

Zachęcony, a może rozzuchwalony dobrem przyjęciem, jakiego doznali rzekomo „niekasowi" klasycy, znowu sięgnął dyr. Szpakiewicz do wielkiego repertuaru: z ogromnym nakładem pracy, z wiarą w powodzenie, chociaż nie bez usprawiedliwionej tremy wystawia w swojej reżyserji na Pohulance „Różę" Żeromskiego. I o dziwo: na premjerze „Róży" jest komplet, na drugiem przedstawieniu — niewiele do kompletu brakuje — „Róża" idzie... Wielki talent polskiego Jeremjasza ujarzmia widownie: doniosły czyn artystyczny i społeczny wileńskiego teatru został należycie przez publiczność oceniony. Jeszcze się teatr nie przeżył, jeszcze mimo różnych kryzysów ludzie garną się do źródel żywego słowa. Nie jest tak źle, jak się licznym puszczykom wydaje.

A w kameralnej „Lutni" weszła tymczasem na scenę trzyaktowa komedja Tadeusza Łopalewskiego p. t. „Aurelciu, nie rób tego". Jest to satyra o farsowem zacięciu na współczesne „działaczki społeczne", uganiające się całemi dniami poza domem dla dogodzenia próżności własnej ze szkodą instytucji rodziny. Bardzo ciepło przyjęta przez publiczność i krytykę bawi „Aurelcia" widzów, szukających w teatrze „lżejszej strawy".

Następną nowością repertuarową będzie komedja wileńskiej spółki autorskiej Kazimierza Leczyckiego (autora „Sztuby") i Józefa Mackiewicza „Pan poseł i Julja", zaczepiająca o politykę i wybory. Dla dzieci przygotowuje dyrekcja bajkę „Kopciuszek" w opracowaniu Walewskiego.

Oto bilans sześciotygodniowej działalności wileńskich teatrów, gdzie praca jest ciężka, ale i wdzięczna. Wyraźnie zarysowana linja repertuarowa, świadoma swych celów reżyserja, staranność inscenizacji i wreszcie szereg nieprzeciętnych talentów w zespole aktorskim (poza artystami wymienionymi wyżej — nie sposób pominąć nazwisk pań: Ładosiówny, Zelwerowiczówny, Kamińskiej, Detkowskiej, Szpakiewiczowej, Zielińskiej, Mareckiej — panów: Wyrwicza-Wichrowskiego, Wołłejki,, Bieleckiego, Wyrzykowskiego, Loedla, Jaśkiewicza, Zastrzeżyńskiego i w. i.) — to wszystko świadczy, że wileńskie teatry idą drogą normalnej, chociaż wytężonej pracy naprzód, ku dalszemu rozwojowi.

(-ski).





Największą sensacją nowego sezonu teatralnego w Wilnie była premjera „Róży" Stefana Żeromskiego. Na zdjęciu w owalu p. M. Szpakiewiczowa w roli Krystyny i p. M. Wyrzykowski jako Czarowic. — Powyżej scena przedstawiająca fabrykę. Reżyser'a p. dyr. M. Szpakiewicza.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

NA FRONCIE MANDŻURSKIM. OD SPECJALNEGO KORESPONDENTA.

Mukden, w październiku.

Czy pozostaną Japończycy w okupowanej części Mandżurji, czy też wycofają swe wojska z zajętych siłą terenów? Nad pytaniem tem zastanawiają się — czytam w prasie zagranicznej, nadsyłanej nam przez Tokjo — wszyscy politycy w Europie i Ameryce. Zagadnienie to chcielibyśmy rozwiązać i my, siedzący tutaj w Mukdenie korespondenci. Cóż, kiedy odpowiedzi na to zagadnienie nie potrafią — jak się przekonałem — dać nawet sami Japończycy, oficerowie sztabu generalnego. Czekamy więc na rozwój wypadków z niemniejszą, niż zagranica, ciekawością.

Czekamy i obserwujemy ten stan pół-wojenny, którego nie nazwałbym wojną regularną. A przecież wszystkie przygotowania Japończyków wskazują na ich poważne zamiary w Mandżurji. Przejeżdżając przez Cioo-Sen (Koreę) z portu Fusan, prawie na wszystkich stacjach zauważyć można pociągi wojskowe i transporty ze sprzętem wojennym, koło których stoją żołnierze z najeżonemi bagnetami. Za Seulem, stolicą Korei, coraz częściej spotykamy gromady jeńców chińskich, transportowanych w głąb kraju, oraz „hinamnin" — uchodźców, Japończyków, którzy z dobytkiem koczują po polach, chcąc przeczekać zawieruchę wojenną.

Mukden przepełniony wojskiem. Wszystkie koszary i baraki zajęte przez oddziały japońskie. Stąd wysyła się rezerwy na „front", który oddalony jest o kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Nie jest on ciągłym, jak naocznie stwierdziłem, korzystając z zezwolenia „sidan-sirejbu" (sztabu dywizji) na zwiedzenie najdalej wysuniętych placówek, lecz trzeba przyznać, że służba łączności uzupełnia te luki znakomicie. W miejscach bardziej zagrożonych wybudowano okopy i zaprowadzono ostre pogotowie. Japończyków cechuje wogóle ostrożność. Nic zresztą dziwnego. „Ciankoro", jak nazywają pogardliwie Chińczyków, synowie Nipponu, wykorzystują każdą nieuwagę posterunku, napadając na mniejsze oddziały i wycinając je w pień. Również niemały kłopot sprawiają przeważnie nieuchwytne bandy rabusiów, grabiące wsie chińskie, których nie obsadzono wojskiem.

Po pierwszych starciach regularnej armji chińskiej z Japończykami, czego niestety, nie byłem świadkiem, nastąpiło podobno pod wpływem Ligi Narodów zawieszenie broni. Lecz tylko prowizoryczne. Do sztabu w Mukdenie ustawicznie nadchodzą meldunki o potyczkach, oraz obszarpani i wynędzniali jeńcy chińscy, w których nikt nie poznałby żołnierzy. Poddają się ostatnio bez walki, wiedząc, że w niewoli japońskiej w każdym razie nie zginą z głodu.

W ostatnim czasie zmniejszył się transport wojsk z Japonji. Przychodzą natomiast pociągi, pełne zimowego umundurowania i amunicji. Każdy żołnierz otrzymuje watowane spodnie i kurtkę, czapkę baranią z nausznikami, buty, wykładane futrem, z drzewianą podeszwą, oraz dwa ciepłe koce. Przezimują więc napewno w mroźnej Mandżurji, mimo kategorycznego sprzeciwu Chińczyków i prawdopodobnie niezależnie od decyzji Ligi Narodów. Możliwem jest, że z tą międzynarodową instytucją liczą się w sztabie generalnym w Tokio, lecz tutaj nikt się tem poważniej nie interesuje.

„Kokusaj-Remmej" (Liga Narodów) — w Genewie, a zagrożone nasze interesy w Mandżurji — słyszałem prawie od każdego oficera japońskiego odpowiedź, gdym starał się go wciągnąć w rozmowę na temat interwencji zagranicznej. Nie sądzą również, by Sowiety czy Stany Zjednoczone zechciały wystąpić aktywnie w zatargu chińsko-japońskim.

Przyznać należy, że Japończycy na terenie okupowanym zaprowadzili wzorowy porządek, przejmując w swe ręce wszystkie urzędy. Opiekę rozciągnęli nie tylko nad swoimi obywatelami, lecz również nad Chińczykami, którzy pod osłoną japońskich bagnetów mogą teraz spokojnie pracować. Ta okoliczność prawdopodobnie podsuwa niektórym „Synom Kraju Środka" myśli o odseparowaniu się od macierzy i pozostaniu pod ochroną Japończyków. Znękani kilkunastoletnią brotobójczą wojną domową, zniszczeni epidemjami, kataklizmami i głodem, żyjący w ciągłej trwodze przed napadami bandytów — woleliby obcą opiekę, niż własny nieład. Są to narazie głosy nielicznych Chińczyków. Ogół natomiast wrogo odnosi się do najeźdźcy. Nie trwoży to jednak Japończyków. Wszak potrafili zatrzymać przy sobie Koreę, mimo wrogiego nastroju miejscowej ludności, w ten sam więc sposób mogą opanować i wschodnią Mandżurję.

Z pewnością stojący dziś na polach Mandżurji z bronią w pogotowiu żołnierz japoński, myśli o zatknięciu na stałe sztandaru Nipponu nad granicą mroźnej Syberji.

Ten.



Mapa terenu wojny w Mandżurji. Kreski ukośne oznaczają terytorjum zajęte przez Japończyków.



Żołnierze chińscy przed gmachem ministerstwa wojny w Nankinie.
R. Sennecke, Berlin.



Uciekinierzy chińscy na drodze z Mukdenu do Dairen.

Z METROPOLJI MODY

ROSE DE PARIS.

(SPECJALNA KORESPONDENCJA Z PARYŻA).



Kostjum „tailleur". *Krótki „tailleur" podkreśla tendencje zimowej mody. Kołnierz męski z wyłogami, szerokie ramiona i cztery kościane guziki jak w garniturach męskich. Kostjum ten jest zrobiony z grubego, miękkiego kaszmiru brązowego. Przybranie z łasic w nieco jaśniejszym tonie. Do tego kapelusz, buciki, pończochy i rękawiczki powinny być brązowe, w tonie kostjumu lub futra.*

Moda paryska.

Moda zimowa nie zawiodła naszych oczekiwań. Jest bogata w wyraz, trochę skomplikowana, troszeczkę perwersyjna, ale jakże oryginalna i w tej oryginalności — szykowna. Jeżeli jest skomplikowana i jak powiedziałam trochę perwersyjna, to nie jej wina — ale nasza!

Tak, nasza. Bo jakkolwiek dużo się mówi o kaprysach mody, to jednak w tych pozornych kaprysach jest myśl — logika, uzasadnienie. Uzasadnieniem jest nasza psychika, którą moda odzwierciedla, uzewnętrznia.

My, kobiety współczesne, lubimy sporty, automobil, amerykańską niezależność, palimy papierosy, pijemy cocktaile. Jesteśmy z mężczyznami na stopie poufałej koleżeńskości. Innemi słowy — naśladujemy trochę mężczyzn.

Czujna moda zauważyła te nasze upodobania i skłonności i proponuje nam męską nieco sylwetkę, o zdecydowanych, sportowych linjach, wydłużoną, w ramionach kanciastą.

Przyjrzyjmy się okryciom i żakietom. Wszędzie spotkamy, silniej zaznaczoną w okryciach do podróży i na ulicę, łagodniej w płaszczach wizytowych i wieczorowych — męskość kroju.

Ramiona w okryciach są szerokie, lekko podwatowywane jak w męskich paltach; szerokie wyłogi, rzędy guzików dążą do nadania pewnej sztywności postaci. Stan jest bardzo obcisły i długi.

Ale kokieterja kobieca praw swoich się nie zrzeka i surowe nieco kontury ozdabia fantazją szerokich rękawów, pelerynek, zarękawków. Cienka w pasie sylwetka kobieca na kształt wazonika rozszerza się, uwydatniając linje bioder i zwęża u dołu, przy kolanach.

To łączenie w jedną całość męskich i kobiecych elementów stroju — czy nie daje trochę perwersyjnej syntezy?...

Ale to nie wszystko. Jest tu jeszcze jeden ukryty cel. Oto przez poszerzanie ramion i rękawów osiągamy złudzenie wielkiej smukłości figury, o którą chodzi. Zdobywamy pożądaną szczupłość tanim kosztem — optycznego efektu.

Dla syntezy, o której wspomniałam, do bolerek, pelerynek i kołnierzy używamy futer noszonych przez panow, jak: karakuły, bobry, łasice. Dla ilustracji naszych wywodów podajemy kilka sylwetek o paryskim iście szyku.





Strojny płaszcz wizytowy. *Suknia z crepe marocain zapięta cała na guziki, w formie kulek, pokrytych tym samym materjałem; kołnierzyk w ażurki z białej crepe georgette, w kształcie motylka; guziki ozdabiają rękaw do łokcia. Pelerynka z czarnych karakułów podszyta czarnym atlasem. Rękawiczki czarne z białym brzeżkiem. Zarękawek, naturalnie z karakułów, średniej wielkości ma kształt beczułeczki. Kapelusz filcowy, czarny. Na eleganckie wizyty jedyną biżuterję, jakąbym radziła — to perły.*

Na lewo:

Komplet wełniany, przybrany selskinami. *Śliczny ten kostjum z wełny w kolorze lila, przybrany bogato selskinami, o żakiecie podwatowanym, można jeszcze nosić wobec ciepłej pory. Duży kołnierz, modne szerokie manszety i pas selskinowy dołem. Sukienka wykończona okrągłym kołnierzem w dwu kolorach: białym i lila. Pasek czarny lakierowy z perłową klamrą i perłowe guziki. Kapelusik z czarnego aksamitu, przybrany tylko puklem z tej samej materji.*

Na prawo:

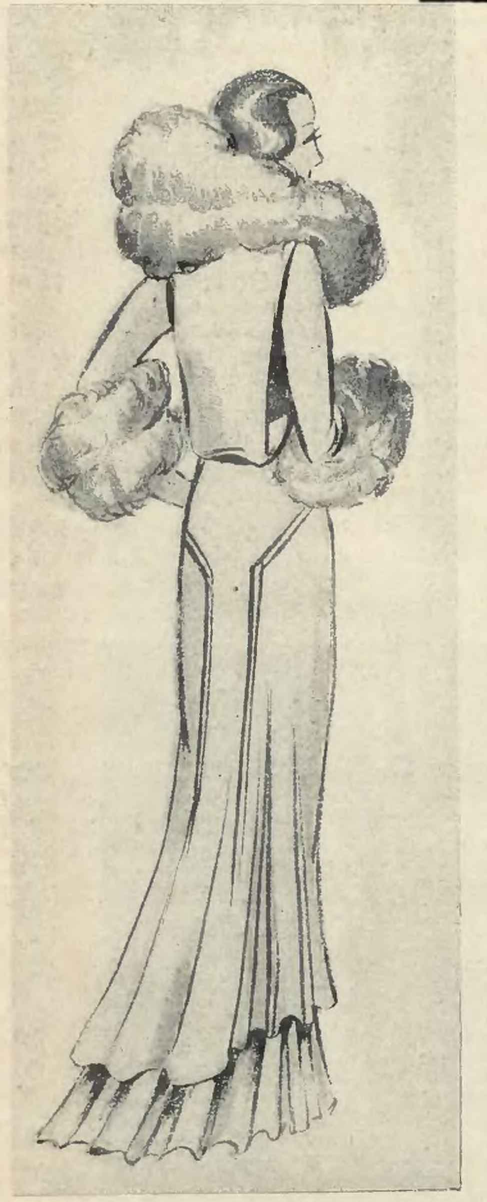
Elegancka suknia wizytowa. *Jest to model opracowany przez firmę paryską Paquin. Płaszcz zielony z materjału Rodier, prążkowany w diagonale, podszyty zielonym atlasem, bardzo obcisły w pasie i zapięty na jeden guzik. Kołnierz i rękawy bobrowe. Zwróćmy uwagę na oryginalny krój rękawów w kształcie baloników. Płaszcz zwęża się nieco u kolan i rozszerza u samego dołu. Do tego radzimy zielony kapelusz z brązowem przybraniem (piórko lub wstążka). Buciki zamszowe w kolorze bobrów. Zielony bucik do zimowego płaszcza wyglądałby za fantazyjnie. Torebka odpowiednia do bucików, brązowa, zamszowa. Suknia powinna być zielona.*

Poniżej:

Modny rękaw. *Bardzo oryginalny rękaw pomysłu firmy paryskiej Louise Boulanger. Widzimy, że szerokie rękawy, przybierające kształt wydłużonego balonika, noszone będą nietylko przy okryciach, jako przybranie futrzane, ale i do sukien, zarówno skromnych jak strojnych, wizytowych. Mają one, jak wspominałam, tę zaletę, że czynią figurę smuklejszą. — Na tym modelu ciekawym pomysłem są zakładeczki, zdobiące rękaw u góry i przy mankiecie.*













Na lewo:

Płaszcz wieczorowy. *Jest to bardzo elegancki płaszcz, obstalowany u Wortha przez bar. Rotszyld. Podajemy go ze względu na oryginalny fason pleców. Musimy jednak uprzedzić nasze Czytelniczki, że na specjalne żądanie baronowej — płaszcz nie przykrywa sukni, choć według ostatniej mody w zimie noszonej, sukni nie będzie z pod okrycia widać. — Płaszcz jest z aksamitu bleu-roi przybrany popielatym lisem. Lisy zastąpić można imitacją z zajęcy, do złudzenia do lisów podobną. Kołnierz szeroki i przybranie futrem rękawów w formie bransoletek poniżej łokcia, czyni to okrycie bardzo strojnem. Zwróćmy uwagę, że kołnierz pokrywa ramiona, dzięki czemu figura wydaje się jeszcze szczuplejsza w pasie. Plecy są podwójne, jedne dopasowane, drugie narzucone luźnie. Płaszcz jest ujęty paskiem, wiązanym z boku. Nosić go należy z suknią popielatą lub błękitną w tonie okrycia.*

Na prawo:

Okrycie do sukni wieczorowej. *Żakiecik fantazyjny z zielonego aksamitu o odcieniu szmaragdowym, przybrany jest u rękawów i u dołu czarnym, lub srebrnym lisem. Głowa zwierzątka stanowi zapięcie. Wyłogi mają krój męski. Kołnierz wysoki, cały w tak zw. „pinces" (szwy) z tyłu, w stylu Robespierre, nieco ekscentrycznym, nadaje temu okryciu specjalny charakter i szyk. Rękawiczki radziłabym do tego czarne, czarny kwiat może zdobić klapę żakiecika.*

Na prawo:

Eleganckie wieczorowe okrycie. *Wieczorowe okrycie z lśniącego „velour-chiffonu" w kolorze złotawo-brązowym. Krój obcisły, zapięcie na rząd guzików z przodu. Wydłużony modnie ku tyłowi krój tego żakietu o kimonowych rękawach, rozszerza sylwetkę w ramionach także i przez duży kołnierz z niebieskiego lisa. W pasie krój silnie zwężony, uwydatniający smukłość postaci. Do tego kapelusik z jasno-złotego lśniącego aksamitu, przybrany tufem z ciemnej wstążki w kolorze brązowym.*

Na lewo:

Żakiecik przybrany lisem. *Żakiecik aksamitny ciemno-czerwonego koloru „grenat", podszyty jest atlasem tej samej barwy. Wogóle podszycia płaszczy w tym roku robią się z atlasu. Przybranie jest z niebieskiego lisa. Zwróćmy uwagę, że w tym modelu przybranie futrem rękawa znajduje się nieco wyżej mankietu. Do tego okrycia bardzo ładnie wyglądałyby też sobole.*

Żakiecik ten jest nieco krótszy z przodu niż z tyłu. Krój ten, wydłużony ku tyłowi, jest dla obecnej mody bardzo znamienny i bardzo elegancki. Stosuje się go również w przybraniu sukien wolantami, czy „nervure"ami. Wysmukla on postać, radzimy go stosować, gdy się ku temu nadarzy sposobność. — Elegancja i oryginalność powyższego żakiecika polega na tem, że nie ma on właściwie napięcia. Przytrzymuje się go ręką, obciskając jednocześnie tym ruchem stan i lekko drapując. — Szyję otacza ukośnie przyszyta szarfa z tego samego aksamitu, spadająca z tyłu nierównemi końcami. — Okrycie to może być noszone z suknią koloru „champagne", beige, „tete de negre", albo tego samego koloru. Zasada jest, żeby suknie nosić dobraną do koloru okrycia, lub przybrania futrzanego.

Zimowe płaszcze wieczorowe.

Zima już idzie... ostra podobno zima... Jakże miło otulić się miękkim futerkiem, ręce wsunąć w mufkę, nosek przed podmuchem zimnego wiatru schować w szeroki, puszysty kołnierz! Ale zima niesie nam w darze rozrywki miejskie, koncerty, przedstawienia teatralne, kolacje, zakończone w jakimś modnym dancingu!

Elegantka z przyjemnością myśli, że konieczny jej jest w tym sezonie nowy płaszcz wieczorowy. Ale znaczny stosunkowo ten wydatek należy zrobić rozważnie, dobrze się namyślić, co wybrać, przejrzeć wszystkie modele, żeby później nie narzekać, nie martwić się złym wyborem, nie zazdrościć przyjaciółkom i nie zatruwać życia mężowi!

Przeszłoroczna moda płaszczy zimowych była wahająca się i niezdecydowana. Suknie długie już noszono, a okrycia nie śmiały iść za przykładem wieczorowych tualet. Obawiono się, że będzie to postarzało, oko zbyt jeszcze było oswojone z krótkiemi, młodzieńczemi płaszczykami.

Miałyśmy więc przeszłej zimy okrycie trois-quarts, sięgające za kolana, a długa suknia „wyłaziła" z pod płaszcza. Wrażenie było nieestetyczne, ani jednej z kobiet nie było w tem ładnie. Cierpiałyśmy ten okropny, przejściowy stan rzeczy — nie mając odwagi zbuntować się przeciwko dobrowolnemu szpeceniu naszej sylwetki.

Moda w tym roku przecięła węzeł gordyjski. Ale uczyniła to z taktem i umiarem. Płaszcz wieczorowy ma być długi, długości sukni. Panie, które przypuszczają, że nie będzie im w tem dobrze, mają do wyboru krótkie okrycie, rodzaj żakiecika, czy długiego bolera, efektownie futrem przybranego.

Mamy więc dwa rodzaje okryć wieczorowych, równie modnych i równie eleganckich, stanowiących zdecydowany kontrast. Jak widzimy, obecna moda chce sobie wszystkich zjednać.

Płaszcze wieczorowe, zarówno długie, jak krótkie, są robione z aksamitu jedwabnego. Jest to aksamit więcej mięsisty, niż ten, który używamy na suknie. Suknie balowe będą z aksamitu sztucznego, układającego się nadzwyczaj miękko, jak najlżejsza tkanina.

Żakiety wieczorowe odznaczają się pełnym fantazji krojem i przybraniem. Oryginalnością tych okryć jest obramowanie futrem u dołu, kołnierz jest najczęściej z tego samego materjału co okrycie.

PO ZAMKNIĘCIU SALONU GASTRONOMICZNEGO W PARYŻU.

Rendez vous najlepszych kucharzy świata.

Już starożytni Rzymianie... Nie! Tym razem nie zacznę od Rzymian ani od Lukullusa, gdyż mam podostatkiem przykładów na miejscu i mógłbym tomy zapełnić, opowiadając o kuchni francuskiej. Lękam się pisać o pulardach i entrecotach, o smaku Vouvray i Chablis, gdyż my Polacy jesteśmy o wiele mniej czuli na zalety dobrej kuchni i nie zdajemy sobie sprawy z rozkoszy, jaką może dać befsztyk usmażony rzeczywiście „a point", lub też świetnie zrobiony „frity" (ziemniaki smażone na oliwie). My nie przykładamy wagi do jedzenia, pora obiadowa nie jest dla nas nienaruszalną świętością, i jemy zazwyczaj dla nasycenia głodu, a nie dla przyjemności.

Przeciwnie we Francji. Pora „dejeuner" czy wieczornego „diner" jest sakramentalna. Biada cudzoziemcowi, który przyjechawszy do Paryża zaczepi szofera wtedy, gdy ten jedzie na obiad lub kolację. Przerwanie komuś posiłku jest obrazą, którą Francuz będzie długo pamiętał. Je się dla przyjemności i dlatego nie wolno nikomu przeszkadzać w tak ważnej przyjemności. Każda rzecz ma swoją porę i zmiana tego „rozkładu jazdy" jest uważana za karygodne przestępstwo.

Przed kilku dniami siedziałem w kawiarni w towarzystwie pewnego Francuza i prowadziłem bardzo interesującą rozmowę z zakresu teorji sztuki. Tłumaczyłem mu właśnie jakąś dla mnie niezwykle ważną rzecz, gdy nagle mój Francuz zakrzyknął: „Ale to jest niesłychane. Któż widział coś podobnego!" Nie spodziewałem się spotkać z tak gwałtowną opozycją mego słuchacza, więc zdziwiłem się bardzo i zamierzałem przystąpić do ponownego tłumaczenia moich poglądów, gdy okazało się, że mojemu towarzyszowi chodzi o to, iż siedzący przy sąsiednim stoliku Amerykanin zmieszał „pernod" z „finem" i to o godzinie 10-tej wieczór, a więc po kolacji. Francuz był tem tak oburzony, że dopiero po długich perswazjach zdołałem go z powrotem nakłonić do nawiązania przerwanej rozmowy. A wypadek ten nie był odosobniony. Francuzi przywiązują olbrzymią wagę do jedzenia i często — nawet gdy zapraszają kogoś na zwyczajne śniadanie do restauracji — układają „menu" na kilka dni naprzód. Są ludzie, którzy sądzą drugich po sposobie chodzenia, noszenia kapelusza czy zdzierania obuwia. Dla Francuza to wszystko nie ma znaczenia, gdyż wystarcza mu najzupełniej stare przysłowie: „Dismoi, ce que tu manges, je te dirai, ce que tu es" (Powiedz mi co jesz, a powiem ci kim jesteś).

W tych warunkach wytworzył się we Francji kult dla kuchni. Prawie wszyscy Paryżanie są smakoszami, ale za to mało jest obżartuchów. Jedzenie jest przyjemnością, rodzajem towarzyskiej gry, która ma swoje prawa. Nie wolno ich przekroczyć pod karą zepsucia apetytu sobie i innym. Dania powinny iść w pewnym porządku, toż samo wina. Bo „smakoszostwo jest jednem z największych dóbr społeczeństwa" i „deser bez sera jest jak piękna kobieta bez oka". Zalety kuchni umieli cenić także znakomici pisarze, a Balzac powiedział, że „wystarczy, by spadła mu na talerz jedna trufla. Jest to jajo, z którego nagle wykluje się dziesięć postaci mej Komedji Ludzkiej".

Znany pisarz współczesny Curnonski twierdzi, że w gastronomji istnieje pięć partyj, podobnie jak w życiu politycznem. Skrajną prawicę stanowią zwolennicy „Wielkiej Kuchni", opartej na wiedzy, poszukiwaniach i omal dyplomach uniwersyteckich. Tu należy kuchnia dyplomatyczna i bankietowa. Zwolennicy tradycji tworzą prawicę. Twierdzą oni, że najlepiej jada się u siebie w domu, gdy ma się starą kucharkę służącą przy rodzinie z trzydzieści lub czterdzieści lat. W centrum grupują się amatorzy kuchni t. zw. „bourgeoise" (mieszczańskiej)



W owalu: W tych dniach nastąpiło w Paryżu zamknięcie salonu gastronomicznego, w którem brali udział najwybitniejsi kucharze świata. — Palmę pierwszeństwa w konkursie przyznano dwom Francuzom, a to Andrzejowi Perot i Emilowi Jourdain, szefowi kuchni restauracji de Versailles w Paryżu. — Zdjęcie przedstawia owacje kucharzy na cześć obu asów sztuki kulinarnej.

Wide-World Photos — Paris.

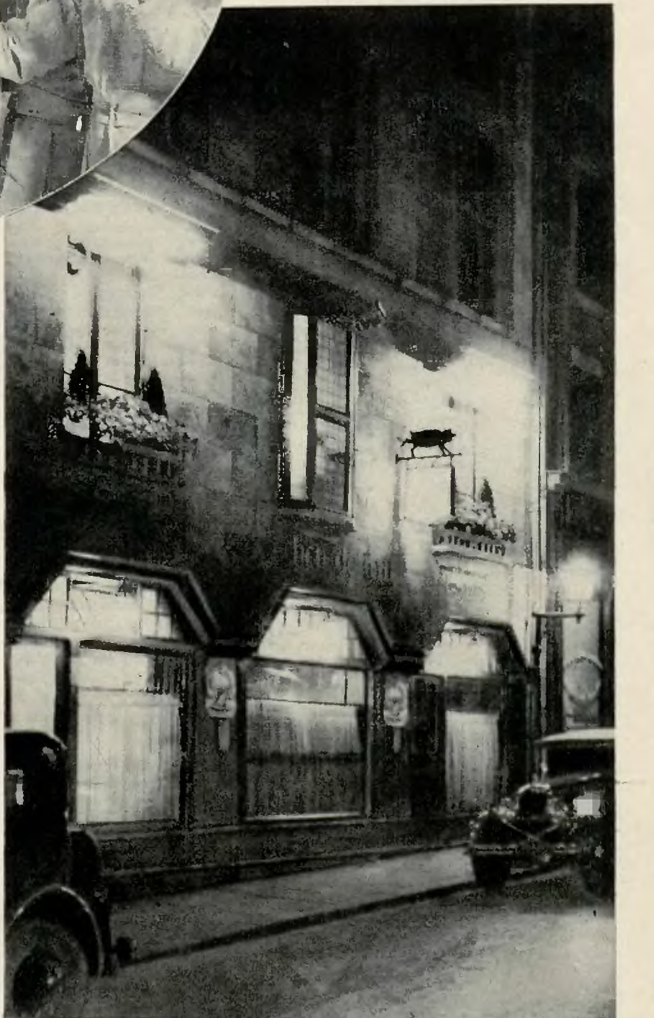
i regjonalnej, opartej na maśle i potrawach przywiezionych z prowincji. Na lewicy znajdują się wreszcie zwolennicy zwyczajnej kuchni, możliwie najprostszej. Lubią oni małe restauracyjki i jadalnie „a la fortune du pot", t. zn. to co jest w domu. Wreszcie skrajna lewica szuka jakichś nowych potraw, nieznanych kombinacyj i reform. Ta dowcipna charakterystyka jadających jest słuszna i dobrze odpowiadała francuskiej umysłowości. Świadczy ona także o znaczeniu, jakie przywiązują Francuzi do jedzenia, czego punktem kulminacyjnym jest doroczny kongres i salon gastronomiczny w Paryżu.

Tego roku na jego otwarcie przybył sam Prezydent Republiki. Salon gastronomiczny zajmował kilka sal na pierwszem piętrze w Grand-Palais i przedstawiał się imponująco. Już u samego wejścia spotykamy cuda architektury kulinarnej: domy, kaplice, wille, wieżyczki itp. Nawet świątynia Angkoru z wystawy kolonjalnej została wiernie skopjowana w cukrze przez mistrza-cukiernika z jakiegoś prowincjonalnego miasta. Czemżeż wobec tego owe cuda kulinarne, o których opowiada Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", owe pory roku, które taki podziw wywołały u zebranych w Soplicowie gości!

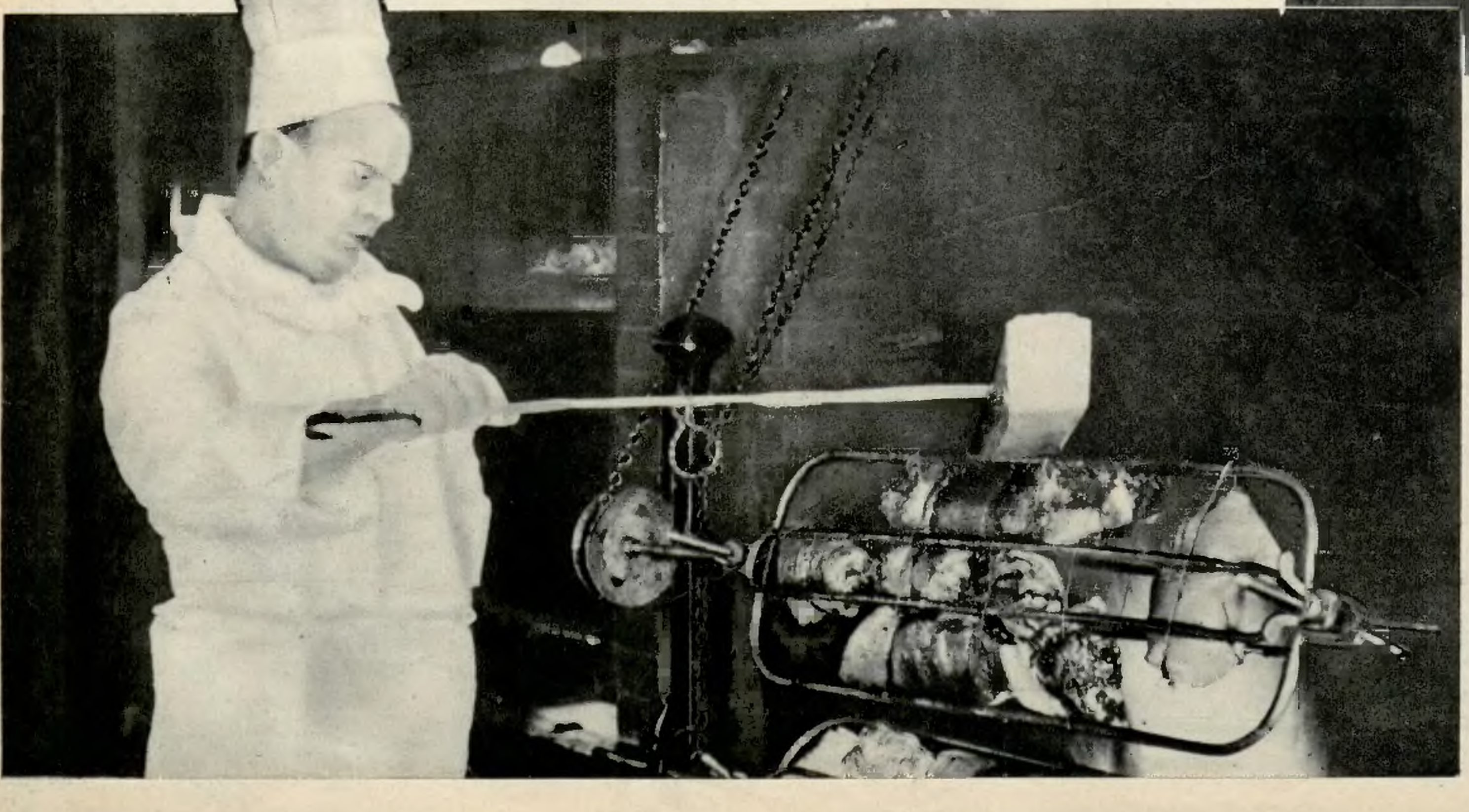
A obok w sąsiedniej sali istne muzeum gastronomiczne. Znajdujemy tu portrety prezesów stowarzyszeń kucharzy i restauratorów, odznaki pamiątkowe, sięgające jeszcze połowy ubiegłego stulecia i dyplomy dla „cordons-bleus" (popularna nazwa dobrych kucharzy). Nawet mapa Francji oznaczona jest według upodobań poszczególnych prowincyj, tak, że po konsultacji jej możemy z łatwością wykreślić „gastrolinję" trufli, langusty czy ślimaków.

Dobra kuchnia jest dla Francuzów kwestją pierwszej wagi. Gdyby Paryżanie byli ludźmi tak serjo i ciężko myślącymi, jak Amerykanie, fakt złego gotowania stanowiłby napewno dla męża powód do rozwodu. Ale na szczęście we Francji mąż może się zawsze pocieszyć w restauracji. Mężczyzna zwyciężył już tu kobietę i tronuje wśród baterji garnków i rondli, dzierżąc w ręku chochlę jak buławę. Bo kobieta nie potrafi tak przyrządzić „łososia, w pięknym widoku tatarskim", lub pieczeni cielęcej „w pięknym, gospodarskim rondlu". A kto nie zna tych świetności, niech pójdzie „Pod gęsią nóżkę", pod „Prosię w mleku", do „Rendez vous marynarzy" czy do Duvala, a przekona się, że kuchnia francuska jest co najmniej tak dobra, jak piękności sa nawzy potraw. „A gdy tylko raz skosztujecie, napewno powrócicie" — jak mówi właściciel pewnej restauracji.

Jan Brzękowski (Paryż).



Łuna światła bijąca z okien restauracji paryskiej zaprasza przechodniów do wnętrza.

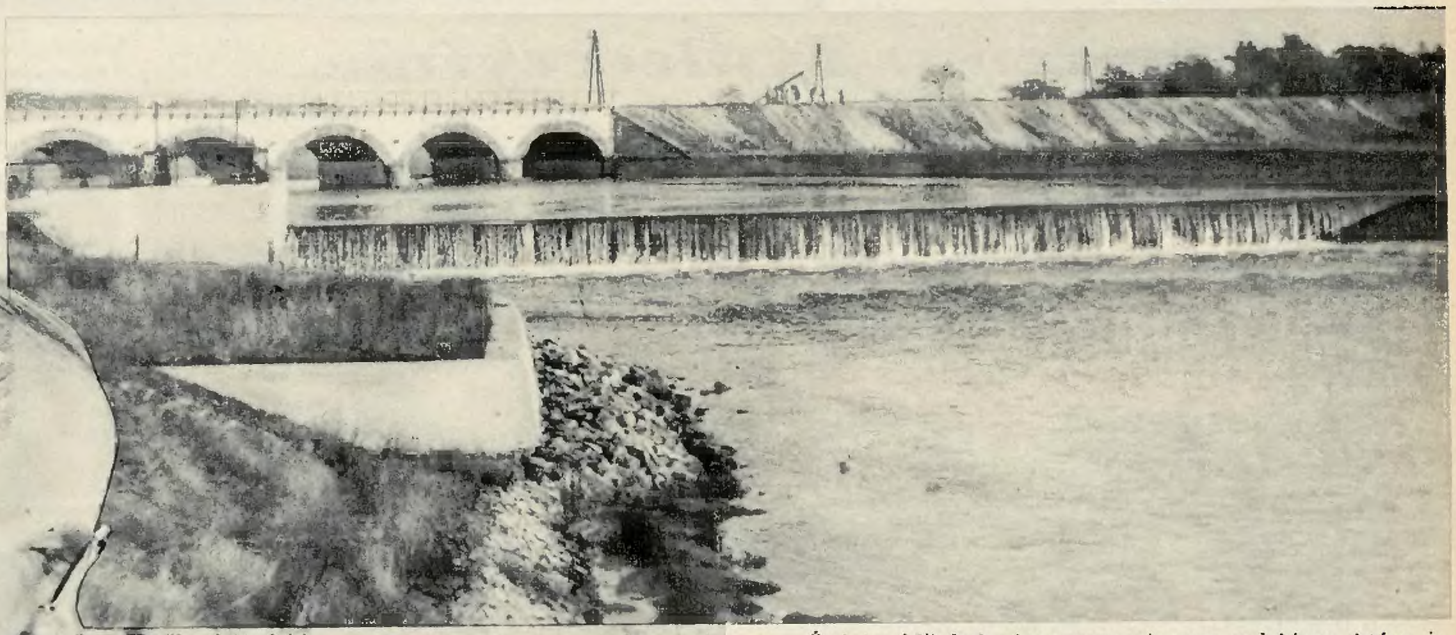


Obok: Kucharz obracający pieczeń na rożnie.

WODY PRZEMSZY DLA ŚLĄSKA.

Na prawo: Jaz na Białej Przemszy spiętrzający wodę. Stąd odpływa ona do stacji pomp w Maczkach.

Poniżej: Dyrektor Państwowego Wodociągu w Maczkach inż. Nowakowski na tle mapy, przedstawiającej trasę wodociągu śląskiego.





„Światowid" był pierwszem pismem polskiem, które jeszcze w roku ubiegłym podało kilka interesujących fotografij z budującego się wodociągu państwowego w Maczkach. Obecnie wodociąg ten został już prawie w zupełności wykończony i zaopatruje w wodę Sosnowiec i Zagłębie Dąbrowskie, niebawem zaś zakres jego działania rozszerzy się także na cały Śląsk. Jak dotąd, województwo śląskie korzysta z wodociągu w Tarnowskich Górach. Jednakże rurociąg tego wodociągu na znacznej długości przechodzi przez terytorjum niemieckie w okolicach Bytomia. Wedle zaś konwencji, Polska tylko do r. 1937 będzie mogła z tego rurociągu korzystać. Ażeby się przeto usamodzielnić, musiano pomyśleć o wodociągu własnym, leżącym wyłącznie na terytorjum polskiem. Projekt tego gigantycznego dzieła wyszedł od prof. dra Rostowskiego, docenta Politechniki lwowskiej i został obecnie zrealizowany. W tym celu ujęto wody z Białej Przemszy jazem, skąd kanałem przechodzi ona do stacji pomp w Maczkach, już po drodze oczyszczając się z namułu. Stamtąd idzie ona do odmólników, a następnie grawitacyjnie spływa do filtrów. Są one systemu angielskiego i najdokładniej oczyszczają wodę. W Sosnowcu znajduje się zbiornik, objętości 5.000 m², jako rezerwoar dla Zagłębia Dąbrowskiego.

W roku bieżącym rozpoczyna się kładzenie rur do Królewskiej Huty. Będzie to kosztować sześć miljonów złotych.

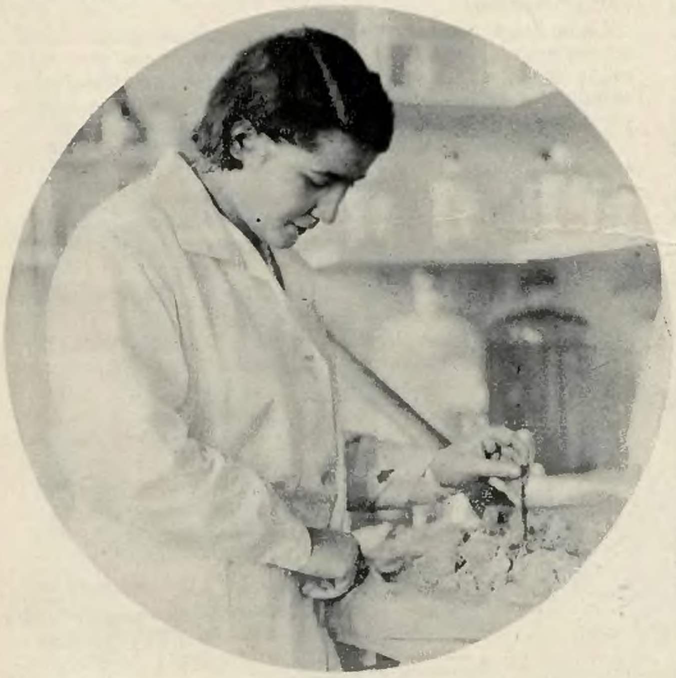
Woda z Przemszy jest poddawana codziennie skrupulatnym badaniom bakterjologicznym, które przeprowadza p. Bujwidowa.

Wogóle w całej stacji pomp uderza pedantyczna czystość. Stacja ta zajmuje ogółem 40 hektarów gruntu i leży na piaskach wśród karłowatych sosnowych lasów, tuż obok stacji Maczki. Przed wojną stacja ta nazywała się Granica, gdyż tu była granica austrjacko-rosyjska.

W trzynastym roku swojej niepodległości rzeka, która ongiś dzieliła zabory, obecnie dzięki wytężonej pracy naszych inżynierów, zaopatruje w wodę najdroższą nam wszystkim dzielnicę Śląsk.

Ten gigantyczny pomnik polskiej techniki postawiony na miejscu, gdzie dawniej dwaj zaborcy podawali sobie ręce nad trupem naszej ojczyzny, ma swoją wielką wymowę.

J. L.



Woda i piasek z wodociągów w Maczkach są poddawane codziennie skrupulatnym badaniom bakterjologicznym.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

NA NOWYCH SZLAKACH NARCIARSKICH.

Zwardoń w Żywiecczyźnie.

Graniczna stacyjka kolejowa na głównym grzbiecie Karpat, „zaprana“ w najodleglejszy kąt Żywiecczyzny (woj. Krakowskie), otoczona kilkunastu domostwami — oto Zwardoń z przed lat kilku.

Kilkudziesięciu odważnych letników i kilkunastu zabłąkanych turystów — w lecie, a parę dziesiątków narciarzy — w zimie, trzy lokalne pociągi z Żywca, któremi przyjeżdżał mało kto i dwa z Czecho-Słowacji, któremi nikt nie przyjeżdżał, odległa szosa połączona ze stacją straszliwą drogą dojazdową, jeden ubożuchny sklep, jedna mała gospoda, dokoła góry i góry — morze grzbietów i lasów, ciągnące się w bezbrzeżną, siną dal.

Posiadał jednak Zwardoń skarb prawie nikomu nieznany, choć niezakopany w ziemi i dostępny wszystkim, a spływający w zimie z ważących się ponad przełęczą, chmur — śnieg. Niezwykle wprost uwarunkowany klimatycznie posiadał on zawsze wspaniałą szatę śnieżną, najwcześniej powstającą i najpóźniej zanikającą w całej bliższej i dalszej okolicy. W sąsiednich stacjach kolejowych, leżących zresztą o wiele niżej, mogło nie być już ni śladu śniegu czy nawet zimy — niemniej w Zwardoniu panowała ona jeszcze zawsze w całej pełni i uroku, srebrząc okiściami lasy i potężnemi puchami otulając łąki i polany.

Zwardoń czekał zatem na „odkrycie“ go przez sporty zimowe, a zwłaszcza przez narciarstwo polskie. Bardzo nieliczni entuzjaści, którzy poczęli go wytrwale propagować na łamach prasy, czy w ramach audycyj radjowych, spotykali się początkowo z niedowierzającem, a dość ogólnem kiwaniem głową. Przeciętny narciarz nie mógł sobie jakoś wyobrazić, że gdzieś za Żywcem, głęboko i wysoko w górach, nieznany dotąd nikomu przysiołek może pretendować do miana „króla śniegów beskidzkich“. Wkońcu podirytowany nieco odmienianem ciągle i we wszystkich przypadkach słowem „Zwardoń“ — brał którejś soboty narty i wyjeżdżał tam z pewną dozą uprzedzenia i ciekawości — przekonać się.

I w przeciągu jednej zimy niemal — Zwardoń stał się znanym i głośnym wśród braci narciarskiej. Dziś posiada on w sezonie doskonałe połączenia kolejowe z Krakowem, Katowicami, Warszawą i Lwowem, a w soboty i niedziele — specjalne przyspieszone pociągi turystyczne, względnie narciarskie, z Katowic i Krakowa. W zimie co niedziela zjeżdża doń do dwuch tysięcy narciarzy, rozgrywa się szereg większych i mniejszych zawodów około zgrabnej i pięknie ustawionej opodal



Na szczycie Skalanki pod Zwardoniem.
Fot. M. Füller, Żywiec.

dworca skoczni, oraz prowadzi się szereg wielotygodniowych kursów narciarskich.

Swoistym gospodarzem i opiekunem Zwardonia jest Oddział Babiogórski (Żywiecki) Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Do jego turystycznych „włości“ należą tu liczne znakowane szlaki turystyczne, ciągnące się dziesiątkami kilometrów ku Kikuli, Wielkiej Raczy, Ryczerzowej, Pilsku, Rachowcowi i Soli, Trojakiemu i Baraniej Górze — jakoteż wspomniana skocznia, oraz budujące się (wspólnie z Oddziałem Bielskim P. T. T.) — wspaniałe schronisko narciarskie.

Wogóle, ruch budowlany w Zwardoniu „ruszył“ w ostatnich czasach. Buduje się równocześnie pensjonat sanatoryjny na kilkadziesiąt osób — kilkupiętrowy hotel z restauracją, sklepem, piekarnią i masarnią — rozbudowuje się okazale stacja turystyczna K. Č. S. T., położona na granicy Państwa, a ceny poszczególnych parcel idą w amerykańskiem tempie do góry. Za kilka lat okolica ta będzie wyglądać „nieco“ inaczej.

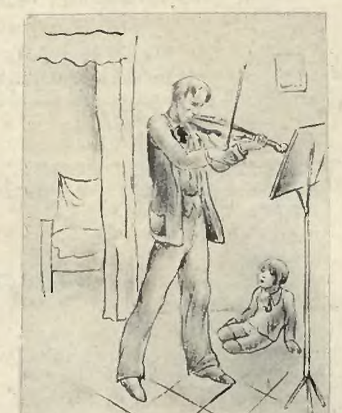
Tak, staraniem głównie Koła Narciarzy Oddziału Babiogórskiego, przemienia się Zwardoń z roku na rok w coraz potężniejszy ośrodek zimowy — by w niedalekiej przyszłości, po otwarciu torów, lodowego i bobsleighowego — stać się główną stacją sportów zimowych dla całej południowo-zachodniej Polski.

WŁADYSŁAW MIDOWICZ.

JERZY KOSSOWSKI (Warszawa).

MĘSKIE ŁZY.

Julek był małym chłopcem, bo miał dopiero szósty rok, ale znakomicie wszystko rozumiał: Wiedział, że ojciec smutno i cicho gra na skrzypcach, bo matka jest chora, pamiętał, że matce trzeba spokoju, więc wraz z dwiema siostrzyczkami potrafił godzinami siedzieć w milczeniu, w kącie między piecem a łóżkiem, słuchając szeptem opowiadanych przez ojca bajek. Wiedział gdzie apteka, skąd przynosił lekarstwa, czekając na nie nieraz bardzo długo. Chodził piechotą, chowając dane mu na tramwaj grosze, wiedząc, że może przyjść taki dzień, kiedy będą mu potrzebne.



I taki dzień przyszedł: Matka umarła i Julek dał ojcu uskładane grosze, wiedząc, że mu potrzeba pieniędzy. Potem siedział długo obok ojca i głaskał go po głowie, żeby nie płakał. Zupełnie tak samo jak ojciec, często głaskał jego i mówił: mężczyzna nie płacze. Julek tego nie mówił, ale szeptał: Nie płacz tatusiu! Sam jednak ocierał łzy ukradkiem, żeby ojciec nie widział. Bo jakże: ojca pocieszał, a samby miał płakać?

Po pogrzebie matki zaczęło się w domu dziać coraz gorzej. Poczęli przychodzić wierzyciele, rozmawiali długo z ojcem w jadalnym pokoju, a potem wychodzili, żegnając się często bardzo nieuprzejmie, czasem nawet wymyślając brzydko. Wtedy Julek chmurzył się w swym kącie pod piecem i bardzo dziwił się ojcu, że wogóle rozmawia z tymi ludźmi. Później, gdy byli sami, ojciec tłumaczył mu, że musi być dla tych ludzi grzeczny, bo jest im winien pieniądze. Julek wiedział, że ojciec smuci się bardzo, bo o ile nie szedł na próbę, czy przedstawienie, a był skrzypkiem w operze, zamykał się w sypialnym pokoju i grał smutno na skrzypcach.

Życie ułożyło się jakoś, gdy nagle spadło na ich dom nowe nieszczęście: ojciec wrócił pewnego dnia w południe i powiedział dzieciom, że wymówiono mu miejsce, bo opera będzie zamknięta. Młodsze dzieci nie zrozumiały tego, ale Julek zrozumiał i kiedy ojciec wyszedł wieczorem, chłopiec długo tłumaczył służącej Maryni, że tatuś znowu ma zmartwienie.

I znowu poczęło się dziać w domu gorzej. Ojca całemi dniami Julek nie widywał, chyba przez kilkanaście minut w porze obiadowej. Chłopiec wiedział, że ojciec szuka zajęcia. Minęło parę tygodni i znowu do domu poczęli przychodzić obcy ludzie. Tym razem nie byli to wierzyciele, tylko handlarze, a przychodzili po to, by obejrzeć wskazane przez ojca meble, targować się głośno, zapłacić niewiele i wreszcie zabrać jaki stół, biurko czy szafę.

Julek nienawidził tych ludzi i nieraz na płacz mu się zbierało, ale przypominał sobie, jak to tatuś mówił, że prawdziwy mężczyzna nie płacze. Nie dziwił się też, że ojciec wogóle rozmawia z tymi ludźmi, bo widział, że dawali pieniądze.

Po każdej takiej transakcji ojciec kupował dzieciom jakieś owoce, jabłka czy gruszki, jakby je chciał przeprosić za to, że w domu zostawało sprzętów coraz mniej. Dzieci nie myślały wtedy o żadnych sprzętach, lecz zasiadały przy stole i zajadały ze smakiem, a ojciec stał nad niemi, patrzył przez błyszczące okulary i gładził nerwowo bujną, siwiejącą już czuprynę. Dzieci były wtedy wesołe, bo na kolaję dostawały nietylko kluski na mleku, ale też i bułkę z masłem, o ile które chciało. Wieczorem zaś, kiedy Julek już był w łóżku, ojciec brał skrzypce i chodząc po jadalni, grał długo w noc.

Julkowi było trudno wyobrazić sobie ojca bez skrzypiec. Gdy tylko zamknął oczy, a pomyślał o ojcu, w tej chwili majaczyła mu pod powiekami wysoka postać ze skrzypcami pod brodą, z jedną ręgą na szyji skrzypiec, a drugą ciągnącą smyczek po strunach. Julek wiedział też, że ojciec nazywa swe skrzypce: Stradivarius. Chłopiec słyszał tyle razy powiedzenia ojca: Mój kochany Stradivarius! — że nawet nie pytał co to znaczy. — Rozumiał, że te skrzypce tak się nazywają, jak ich stary pies, nazywa się Kastor, on Julek, a służąca Marysia. Zatem poprostu nazwisko.

Jakoś w listopadzie nadszedł pamiętny dla Julka dzień. Ojciec wstał dość wcześnie i rzekł:

— Dzieci, ja wychodzę, ale zaraz wrócę z jednym panem. Nie śmiećcie bardzo i bądźcie dla tego pana grzeczne. To bardzo bogaty pan.

I ojciec poszedł. Julek pilnował, by siostrzyczki niebardzo rozrzucały zabawki i był dumny z siebie, kiedy usłyszał, że ojciec wrócił i skinął mu z zadowoleniem głową. Tuż za ojcem wszedł jakiś starszy pan z siwą brodą, powiedział pięknie dzieciom: dzień dobry, ale miał jakiś taki głos, jak zachrypnięty kot.

W pewnej chwili ojciec szepnął Julkowi: — Weź dzieci do kuchni.

Julek wyprowadził siostrzyczki, a sam usiadł pod drzwiami i słuchał: Z początku było jakoś cicho, a później usłyszał znany stukot futerału, stawianego na stole, otwieranie wieka i po chwili dźwięk lekko trącanych strun. To ojciec stroił skrzypce.

W Julku zamarła dusza w przeczuciu czegoś złego. Znał ojcowskie strojenie skrzypiec, które było zawsze ciche, delikatne i stanowiło jakby jakąś dziwną piosenkę. Ale tym razem strojenie było jakieś brutalne, jakby na pokaz.

Chłopiec przyległ całą twarzą do chłodnych drzwi, tuląc jak najszczelniej ucho do nieczułego drzewa.

— Ma dźwięk mój kochany Stradivarius — usłyszał aksamitny głos ojca.

— Może pan co zagra — doszedł Julka koci głos siwego pana.

I potem usłyszał Julek kroki ojca i lekkie brzęczenie strun, trącanych lewą ręką, co poprzedzało zawsze każde ojcowe granie. Ojciec chodził po pokoju i jakoś nie mógł rozpocząć. Dopiero po długiej chwili przystanął i nagle w uszy Julka uderzyły rozpacznie tony skocznego kujawiaka. Ojciec grał tak, jakby chciał struny potargać, a potem urwał nagle i przeszedł niespodzianie na tak zawodliwą drugą część, że Julkowi zaczęła się trząść broda, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Wiedział, że tak gra ojciec tylko wtedy, kiedy mu jest bardzo smutno.

Ciche tony przeszły zwolna w zupełne milczenie i zamyślony Julek ani się spostrzegł, kiedy ojciec otworzył nagle drzwi od kuchni. Chłopiec nie spodziewał się tego zupełnie, a że był oparty o nie całem ciałem, więc wpadł przez próg jak gruszka. Podniósł się jednak szybko i chciał uciec, zawstydzony, do kuchni. Ojciec jednak zatrzymał go:

— Zostań. Pożegnaj się ze Stradivariusem...

A wtedy Julek rozkrzyżował ręce, skoczył ojcu na szyję i zamiast skrzypiec począł całować ojca i prosić:



— Nie płacz tatusiu, jesteś mężczyzną!

— Ja nie płaczę — szeptał ojciec, nachylony nad chłopcem — tylko mi żal Stradivariusa...

A łzy biegły mu po twarzy dwoma równymi sznureczkami i spadały na głowę chłopca.

— Niech się pan nie rozrzewnia — usłyszał Julek miaukliwy głos siwego pana. — Ja te skrzypce kupuję dla wielkiego artysty.

Ojciec wyprostował się, podszedł do stołu i bez słowa włożył skrzypce do futerału. Potem zamknął go starannie, oddał kluczyk siwemu panu i oparł się mocno o stół.

A siwy pan wydobył z kieszeni plik banknotów i położył je przed ojcem.

Pierwszy raz Julek widział ojca tak bezwładnego, że nie odprowadził nawet siwego pana do przedpokoju i drzwi za nim nie zamknął. A kiedy kupiec wyszedł, ojciec opadł półciałem na stół, wtulił twarz w zgięcie ramienia i wśród głośnego szlochu wyjąkał:

— Nigdy już w życiu skrzypiec nie dotknę...

Julek pierwszy raz usłyszał głośny męski płacz.



Obok: Niedźwiedź ofiarowany dla ogrodu zoologicznego w Lesie Wolskim w Krakowie przez 8-my pułk strzelców z Chełmna.

Agencja fotograficzna „Światowida".



Nawet w Chinach atrakcją jarmarków są niedźwiedzie tresowane.

MIŚ W LESIE WOLSKIM.

Krakowski ogród zoologiczny, mieszczący się w Lesie Wolskim pod Bielanami, zyskał nowy nabytek, a mianowicie Misia, ofiarowanego przez 8-my pułk strzelców z Chełmna na Pomorzu. Skąd strzelcy wzięli tego niedźwiedzia, o tem kroniki milczą, wszystko jednak przemawia za tem, że jest on cygańskiego pochodzenia i że został on od cyganów bądź kupiony(?), bądź też zarekwirowany. Miś bowiem ma w nozdrzach kółko, za które cyganie, zadzierżgnąwszy łańcuch, prowadzą niedźwiedzie i zmuszają je do posłuchu i produkcyj tanecznych. Niedźwiedzie oswajają się stosunkowo łatwo, a niezaczepione, człowieka nie atakują. — Opowiadania o ich krwiożerczości są czystym wymysłem. Oczywiście i niedźwiedź rzuca się na człowieka, ale tylko wtedy, gdy jest napadnięty, lub maltretowany. W dawnej Polsce niemal w każdym większym dworze na Kresach Wschodnich hodowano niedźwiedzie, a słynny ks. Radziwiłł Panie Kochanku, używał ich nawet do roznoszenia talerzy i straszenia gości.

Dla niedźwiedzi istniała też specjalna szkoła w Smorgoniach, gdzie uczono je tańczyć. W tym celu stawiano je na blasze, pod którą rozpalano ogień. W miarę, gdy blacha rozgrzewała się, równocześnie odzywały się monotonne tony piszczałki. Zwierzę, którego stopy zaczynały palić, pragnąc uciec, wspinało się na tylne łapy i gwałtownie skakało. Powoli w wyobraźni jego tony muzyki kojarzyły się z pieczeniem w łapy. Odtąd więc, ilekroć odezwała się piszczałka, niedźwiedź zaczynał niezgrabnie tańczyć. Wszelkie zaś wybuchy jego złości lub temperamentu uspokajało pociągnięcie łańcucha, które targało nozdrza.

Los niedźwiedzi tresowanych jest bardzo smutny. Szczególnie cyganie znęcają się nad niemi w sposób bezprzykładny, głodząc je i bijąc za byle co.

Miś z Lasu Wolskiego przybył do Krakowa bardzo zmizerowany. Widocznie gorączkował, bo ciągle pił wodę. Obecnie powoli przychodzi do siebie. Klatkę ma widną i ogromną. Opiekę staranną. Jedzenia w bród. Najważniejsze zaś, że niebawem otrzyma towarzyszkę. Gdy zaś się młode niedźwiadki narodzą, zarząd ogrodu obiecuje puścić je wolno po zwierzyńcu, aż do czasu ich pełnoletniości, tak, jak to ma miejsce w rezerwatach leśnych w Ameryce. L.

Szarada.

ul. M. Waksmundzka — Jasło, czł. Warsz. Klubu Szaradzistów.

W przyrodzie jak wielkiej czytajcie księdze,
W niej dzieła **siedem-trzeciego** zawarte,
I czy to jest pan czy chłopek w siermiędze,
Jej stronice dla każdego otwarte.
A treść jej nie **czwarta-piąta** ni nudna,
Jeśli **raz-druga-trzecia** — jak trzeba,
Ale pełna powabu, wdzięku — cudna —
Jak piękne są obrazy ziemi i nieba.
Gdy czytasz — **ósme dziewiąte** się korzą,
Swą słabość i nicość człowiek dostrzega,
Z czcią wielbi i wielkość i wszechmoc bożą,
I znosi cierpliwiej — co mu dolega.
Człowiek przejęty cudami natury
I Boga wielkością — Stwórcy wszechświata,
Dwanaście-szóste zanosi do góry,
Modlitwa jego do nieba ulata.

— — — — — — — — — —

A ileż to piękna w zmianie pór roku —
Jakże cudownie zmieniają się szaty,
Ileż to powabu i krasy, uroku,
Gdy jesień przywdziewa swój strój bogaty.
W jesieni wczesnej blaskach promieni
Drgają **trzy-ósme** tonów „świetlanych"
I jakby w pryzmacie wszystko się mieni
W nitkach pajęczych misternie utkanych.
Już się z owoców sady opróżniają,
Złotem gdzieś jeszcze jabłka się mienią,
Dziewiąte-dziesiąte wciąż się trzymają
I ciemną do stołu błyszczą czerwienią.
Po polach i lasach cisza zalega,
Ustały dawno pienia ptaszęce,
Tylko **czwarty-pięć-pół-szósty** przebiega,
Strzelca poczuwszy i charty węszące

— — — — — — — — — — —

Siódme wszak jesień to ma do siebie,
Że strach pada na wszelką zwierzynę,
Myśliwy zasię czuje się jak w niebie,
Po polach hasa — depta oziminę.
Bo tak to już na tym bożym świecie,
Że stworzenie stworzeniu jest wrogiem,
I nie wie, kiedy i gdzie kto go zmiecie
I rzadko tylko chwile ma błogie.
Swego się cienia **siedem-jedenaście,**
Bo, jak zbój nieszczęście czyha nań wszędzie,
Chyłkiem za nim **jedenaście-dwanaście** —
I nawet na swojej niepewny jest grzędzie — — —

Za rozwiązanie powyższej szarady redakcja „Swiatowida" przeznacza

cztery nagrody.

Pierwsza zł. 50·—, trzy następne po zł. 25·—

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 21-go listopada 1931 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 43

Szczęśliwie dojdziemy po celu.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 43 nadesłali:

R. Klimczak, Warszawa; skr. poczt. 295; Michał Pietrusiński, Brześć; M. Pobóg, Sosnowiec; M. Luciówna, Lwów; J. Gyurcsak. Bystra; Bromirski T. Bystra; A. Saksówna, Kalisz; H. Sobkiewiczówna, Poznań; R. Kaufmanówna, Kalisz; Z. Boulange, Baczków; W. Tyblewski, Poznań; J. Chęsiówna, Poznań; „Hanka ze Lwowa"; Cz. Kozłowski, Warszawa; L. Osiecki, Lwów; Br. Ramułtowa, Jeżów; „Maryśka z Pohulanki"; St. Stępniewski, Łódź; J. Stolarski, Łódź; E. Turówna, Jaworzno; T. Sobecki, Poznań; Kr. Koźmińska, Żychlin; M. Wojtynowska, Bydgoszcz; St. Chciukówna, Mysłowice; J. Grzęda, Gniezno; W. Kortylewski, Poznań; T. Szancer, Przemyśl; T. Neumann, Drohbycz; L. Glaszmidt, Warszawa; A. Lang, Drohobycz; M. Wysocka, Warszawa; L. Tryczyńska, Kraków; **Alina Olszewska, Krosno (zł. 50.—)**; Edm. Miłowski. Poznań; G. Bartoszewska, Poznań; St. Effert, Poznań; J. Wójtowicz, Zakopane; „To-Lo", Kraków; St. Mucha, Kraków; M. Kostyrkówna, Jarosław; I. Wolańska, Miory; por. Edward Kreyzer, Warszawa; F. Wł. Kowalski, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; St. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Kr. Nowicka, Pabjanice; Z. Wieczorek, Tarnobrzeg; R. Dergiman, Wilno; Ign. Zieliński, Równe; W. Dindorf. Kraków; Br. Szast, Warszawa; Aleks. Fogel, Łódź; H. Kowalska, Łódź; St Kowalski, Pińczów; J. Głuchowska, Pińczów; J. Rynarzewski, Poznań; J. Gapińska, Bydgoszcz; J. Surma, Białystok; „Atila"; M. Sławnicki, Warszawa; por. M. Wondraczek, Warszawa; R. Mendrala, Rzeszów; „Niunia", Rzeszów; Władysław Juchcnicki, Lwów; Ludwik Pogoda; J. Konarzewski, Warszawa; A. Dulęba, Lwów; **Zofja Ludwigowska, Warszawa (zł. 25.—)**; Cz. Dawidowicz, Kalisz; P. Karszno-Chmielewski, Warszawa; Z. Gilsohn, Dąbrowa; H. Sławnicka. Białystok; T. Sławnicki, Białystok; J. Siutówna, Kraków; Cz. Gorzkowska, Kraków; W. Wernerówna, Warszawa; „Jawnuta"; Z. Pieracki, Wilno; D. Herbstmanówna, Warszawa; H. Wojtasiewiczówna, Tarnów; Fryd. Blum, Lwów; St. Mayerberg, Kraków; Wład. Gajowa, Poznań; Ap. Poznański, Osieczna; **Alfred Rotter, Kraków (zł. 25.—)**; „Pechowiec", Września; Fr. Litwiński, Lublin; Ir. Lewicka, Lwów; Ir. Urowska, Kalisz; St. Rosiekówna, Kraków; J. Rogowski, Warszawa; J. Beldykier, Radziki Duże; Hel. Kornaszewska, Lask; J. M. Brzozowska, Warszawa; M. Rundowa, Bielsko; Tad. Berner, Bielsko; H. Lutrowicz, Rraków; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; M. Paszkiewiczówna, Brześć; W. Luxenburgowa, Płock; W. Miłowski, Bydgoszcz; A. Szmytowa, Poznań; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; Wład. Boner, Lwów; **Władysław Lubnauer, Zgierz (zł. 25.—)**; J. Czerwenka, Stryj; M. Waksmundzka, Jasło; L. Galewiczówna, Ozorków; L. Pleskaczówna, Kraków; Rom. Buzkówna. Kraków; Edw. Szynke, Warszawa; Stan. Ciechanowski, Łęczyca, Wład. Wielhorski, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Alinę Olszewską, Krosno (zł. 50). Zofję Ludwigowską, Warszawa (zł. 25.—). Alfreda Rottera. Kraków (zł. 25.—) — (prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór nagrody) i Władysława Lubnauera, Zgierz (zł. 25).

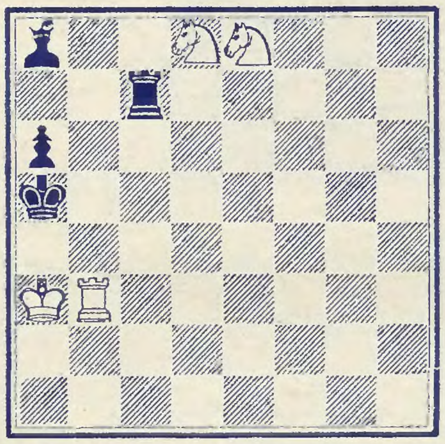
Zamiejscowym Redakcja „Światowida" prześle niebawem gotówkę.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

A. Cheron („Le Temps" 1931).

Czarne: Ka5, Wc7, Ga8, pion a6 (4).



Białe: Ka3, Wb3, Sd8e8 (4).

3-chodówka. 4+4=8.

Mat w 3 posunięciach.

ROZWIĄZANIE 3-CHODÓWKI A. CHERONA

1. S—d6 G—d5 (—f3,—g2, — h1). **2. S—c6+!** i 3×. **Temat Nowotnego,** polegający na: **1)** posun. krytycznem, **2)** poświęceniem figury białej na polu krytycznem (c6), **3)** wykorzystanie zatamowania (zastawienia) przez figurę czarną pola przeszkadzającego wykonaniu próby mata.

PARTJA.

Białe: **Kashdan (Stany Zjedn.)** Czarne: **Dr Vidmar (Jugosławja).**

Obrona sycylijska.

1. e4 c5
2. S—f3 S—c6
3. d4 c×d4
4. S×d4 S—6
5. S—c3 e6 **(-)?**
6. Sd—b5 a6 **(2)**
7. S—d6+ G×d6
8. H×d6 H—e7
9. G—f4 S—h5
10. H×e7+ K×e7
11. G—e3 b5
12. 0—0—0 d6
13. G—e2 S—f6
14. f3 **(3)** G—b1
15. W—d2 Wh—e8
16. Wh—d1 S—e8
17. G—f4 Wc—d8
18. b3 Wa—c8
19. K—b2 S—b8
20. a4! **(4)** b4
21. S—a2 S—c6
22. G—g5+ f6
23. G—e3 S—c7
24. G—b6 W—d7 **(5)**
25. G—c5 S—e8
26. S×b4 S—c5
27. G—b6 W—a8
28. a5 g6
29. S—d3 S—c6 **(6)**
30. S—c5. **Czarne poddały się.**

UWAGI:

(1) Niekorzystne, gdyż pion d albo pozostaje przyzostałym, albo też staje się (na polu d5) odosobnionym.

(2) Gdyby 6... Gb—4 to 7. a3

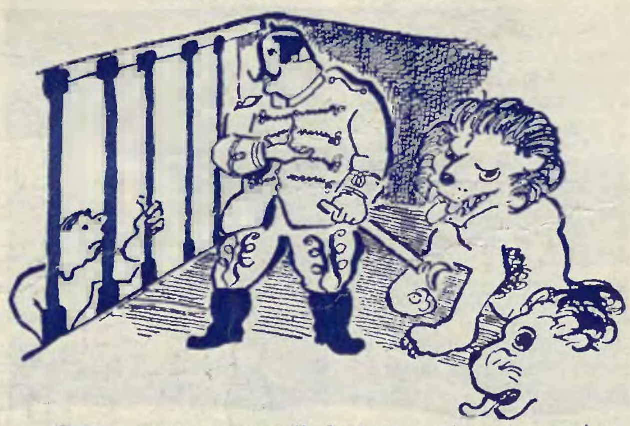
(3) Białe stoją znacznie lepiej, mając do dyspozycji atak na skrzydle króla g4 i h4, lub też sprowokowanie stałych punktów przez a4! (jak później w toku partji), ten ostatni jednak sposób wymaga starannego przygotowania.

(4) W odpowiedniej chwili zagrano!

(5) Kosztuje piona, lecz położenie Czarnych było już beznadziejnem. Żadna figura nie może ruszyć bez pogorszenia położenia.

(6) Traci jakość. Dłużej bronić się mogły Czarne, wymieniając, lecz wówczas rozstrzygnęłyby wkońcu białe piony.

UPRZEJMY POGROMCA.



— Proszę pana, przyszedł dostawca mięsa i upomina się o pieniądze.
— Proszę bardzo, niech tu wejdzie.

WĘDKA DLA WYGODNYCH RYBAKÓW.



MAŁE NIEPOROZUMIENIE.



Poetyczna panna Mania: Ach, jak ja lubię patrzeć na konsternację gwiazd!

KTO SIĘ JUŻ RAZ SPARZYŁ, NA ZIMNE DMUCHA.



Ona: Gdybym umarła, nie znalazłbyś już łatwo drugiej takiej żony...
On: Któż ci mówi, żebym takiej drugiej szukał?

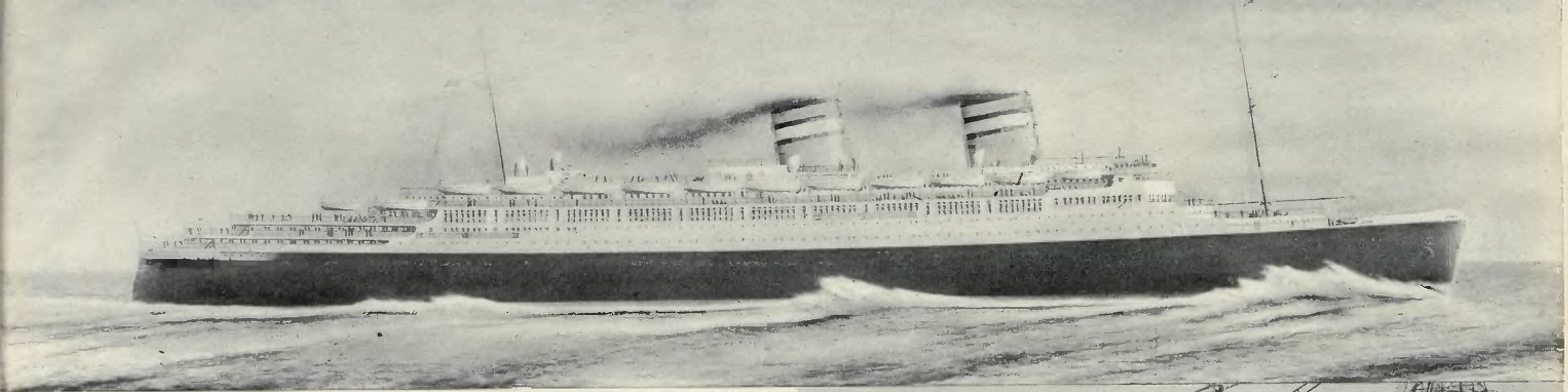
ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

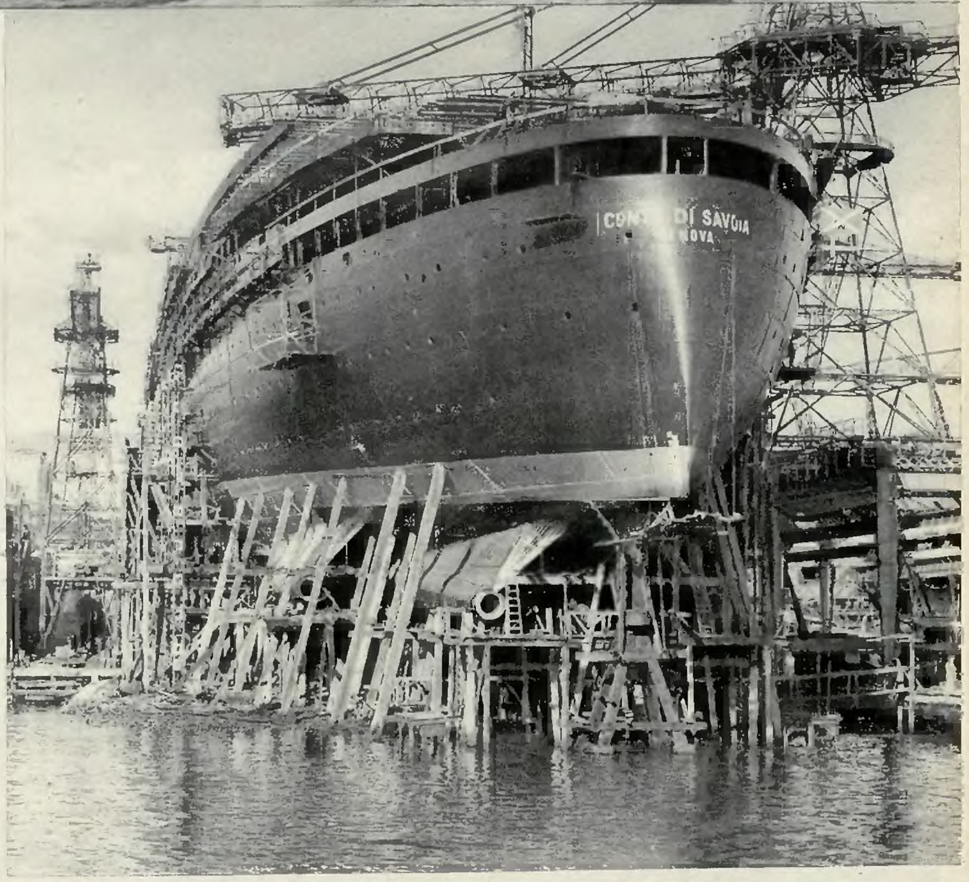
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 46 upoważniający do losowania nagrody

NOWY OLBRZYM OCEANICZNY.



Potężny kolos morski „Conte di Savoia“ linji okrętowej Lloyd Sabaudo, który w tych dniach został spuszczony na wodę w Genui.
Na prawo: Okręt „Conte di Savoia“ w doku w Genui.



28 bm. został spuszczony na wodę w stoczniach „Cantieri Riuniti dell' Adriatica“ nowy kolos morski „Conte di Savoia“ linji okrętowej „Lloyd Sabaudo“ z siedzibą w Genui.

Tonaż statku tego wynosi 48.000 ton, długość 247.60 m., szerokość 29.20, wysokość od tramu (chiaglia) do mostu kapitańskiego 34.50. Maszyny o sile 120.000 HP. nadawać będą temu 4-ro śrubowemu motorowcowi szybkość ponad 27 mil na godzinę.

Wentylacja statku dokonywana będzie zapomocą 120 maszyn o łącznej sile 1100 HP., które w ciągu jednej godziny są w stanie wtłoczyć i wytłoczyć 2,000.000 m. powietrza. Dla wentylacji statku użyto około 650.000 m. przewodów, a centrala elektryczna, instalowana na tym statku, byłaby dostateczna, do oświetlenia nowocześnie urządzonego miasta, mającego 200.000 mieszkańców. Ściany całego statku zbudowane są ze specjalnej stali grubości 40 mm., a ściany izolacyjne, wprawiane w ruch z mostu kapitańskiego, dają absolutne bezpieczeństwo przed zatonięciem w razie uszkodzenia statku.

Projekt konstrukcji okrętu był przedmiotem całego szeregu studjów wybitnych fachowców tak, że „Conte di Savoia“ stanowi ostatnie słowo techniki w tym kierunku i jest zwierciadłem postępu w sztuce konstrukcyjnej morskiej.

Przestrzeń pokładowa w różnego rodzaju formach wynosi 40.000 m² i, aby mieć dostateczne wyobrażenie o obszerności urządzeń statku, wskazanem będzie wspomnieć, że na statku zainstalowano 1500 umywalń, 310 pokojów kąpielowych itp.

Statek posiada klasę I, II, II turystyczną i klasę III ze wspaniałemi salonami, z których jeden kolosalny salon I kl., o wysokości 7 m., stanowi szczyt komfortu. Każda z poszczególnych klas ma duże werandy zamknięte i pokłady spacerowe, z których pokład I klasy ma ponad 1/3 km. długości. Na statku są dwie pływalnie, jedna letnia o wymiarze 15+6.50 m. i jedna zamknięta zimowa o wymiarze 7.50+5 m. Sale gimnastyczne, pokłady dla najróżnorodniejszych sportów, kawiarnie, bary — wszystko to da pasażerom „Conte di Savoia“ zapewnienie największych wygód i luksusu. Prócz tego na statku jest obszerny garaż, który pomieścić może 30 aut.

Ważność tego wydarzenia w dziedzinie międzynarodowej komunikacji morskiej polega na tem, że ten wielki motorowiec zapewni naprawdę szybkie połączenie pomiędzy portami południowo-europejskiemi Ameryką południową.

Z PROCESU „BRZESKIEGO“



Proces „brzeski“ w dalszym ciągu zajmuje opinję publiczną i trzyma ją w napięciu. Kolejno przed trybunałem przesuwają się świadkowie oskarżenia, począwszy od wiceministra, a skończywszy na prostych posterunkowych. Zeznania ich obracają się głównie dookoła kongresu Centrolewu, który miał miejsce dnia 28 czerwca 1920 r. Zdaniem świadków przywódcy Centrolewu starali się podburzać masy i pchnąć je do czynu rewolucyjnego i marszu na Warszawę. Obrona znowu stara się wykazać, że kongres odbył się zupełnie legalnie, że porządku nigdzie nie zakłócono i że oskarżeni przemawiali wprawdzie przeciwko rządowi, ale nie mieli zamiaru obalenia go siłą.

Najczęściej z ławy oskarżonych odzywają się posłowie Mastek, Lieberman i Putek. Najpunktualniej na sali rozpraw zjawia się poseł Witos, który zrzadka zabiera głos.

Ukończono już przesłuchiwanie świadków oskarżenia, obecnie przyszła kolej na świadków obrony.

Na lewo:
W czasie przerwy zeszli się na rozmowie oskarżeni — od lewej: poseł dr Herman Liebermann (PPS), poseł Wincenty Witos i poseł Bagiński (PSL).

Na lewo w kole:
Świadek Benendo Wacław, nauczyciel z Łukowa składa zeznania, w czasie których doszło do wielkich scysyj pomiędzy prokuratorem Rauze a ławą oskarżonych.

„Siedzi zając pod miedzą — a myśliwi o nim nie wiedzą..."



Dnia 1 listopada rozpoczął się w Polsce sezon polowań na zające. Zdjęcie nasze przedstawia psa myśliwskiego, który idąc za tropem znalazł postrzelonego zająca. Francis C. Furst.